

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(93) 2018

Rafał Żebrowski o Herbertach ♦ Ewelina Hrycaj-Mańnic
o Towarzystwie Lekarskim we Lwowie ♦ Sławomir
Gowin o muzach Asnyka ♦ Proza Piotra Tymińskiego
♦ Poezje Stanisława Maykowskiego ♦ Stanisław Dziedzic
o Podkamieniu ♦ Rozmowa z Maciejem Matwijowem

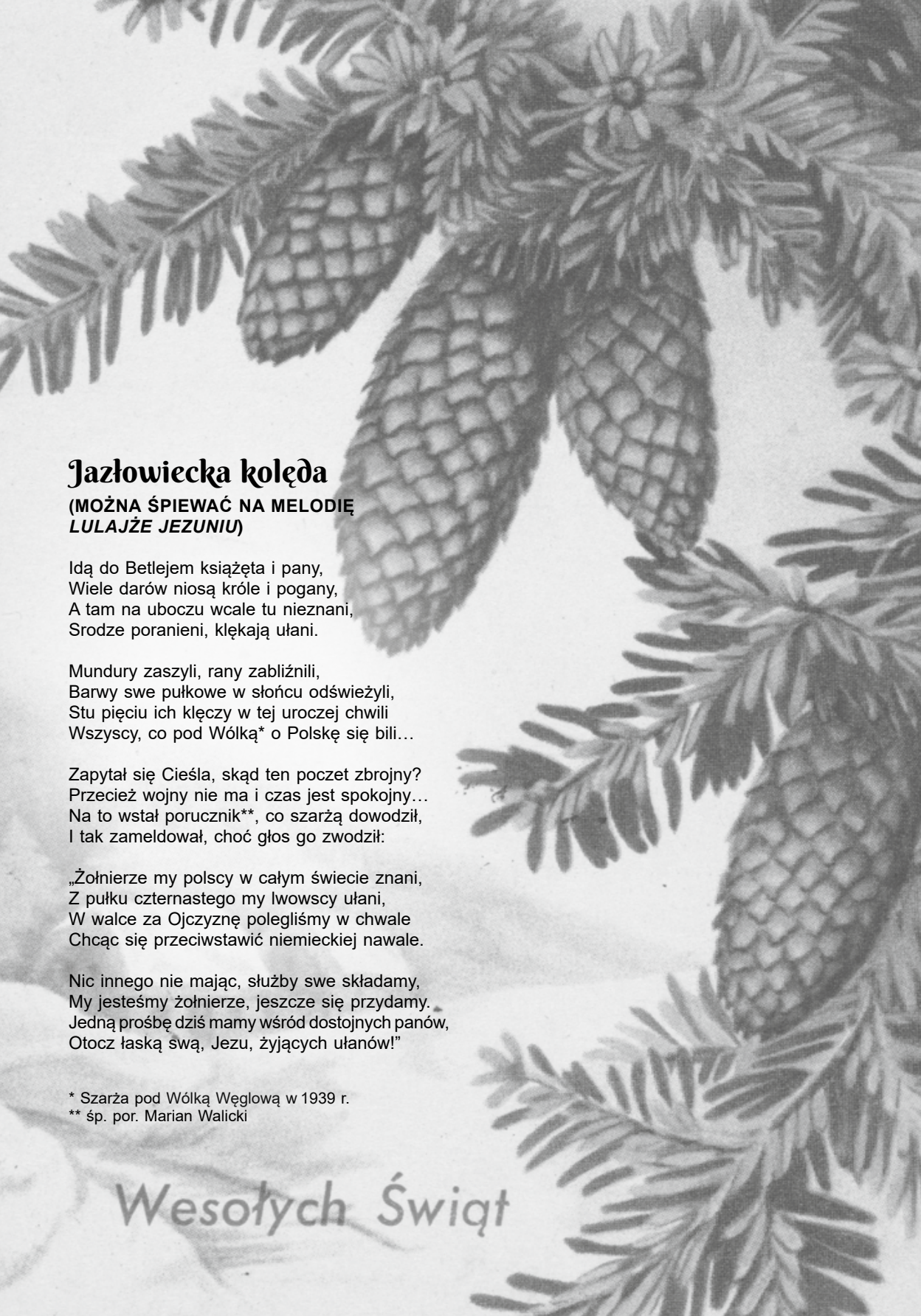
Zamiast wstępu

Rok 2018 jest ważny i szczególny dla Polski. Obchodzimy bowiem rocznicę 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Dla Lwowa i jego mieszkańców ów listopad 1918 roku stał się jednak patriotycznym sprawdzianem. Tam chciano nam niepodległość odebrać, zanim ją odzyskaliśmy. Dwadzieścia dwa dni, które wstrząsały Lwowem bronionym przez „pospolite ruszenie” złożone w znamienitej części z dzieciaków i młodzieży przeciw regularnym oddziałom strzelców siczowych wyposażonych w dobrą austriacką broń, uczyniły z miasta symbol wierności i bezgranicznego oddania Polsce. Dowody waleczności Lwów i jego mieszkańcy oddawali jeszcze kilka lat w wojnie polsko-ukraińskiej i wojnie z Rosją w 1920 r. Zatem to nie przypadek, że najmłodszy kawaler Orderu Virtuti Militari – trzynastoletni Antoś Petrykiewicz – pochodzi ze Lwowa. To nie przypadek, że miasto Lwów 22 listopada 1920 roku osobiście udekorowane zostało przez Marszałka Józefa Piłsudskiego Krzyżem Virtuti Militari. Fotografie z tej uroczystości zamieściliśmy na okładce poprzedniego numeru. Okładkę tego numeru zdobi fotografia z uroczystości z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, jakie odbyły się na cmentarzu Orłąt Lwowskich w roku 2018.

Mijający rok z woli parlamentu polskiego był Rokiem Zbigniewa Herberta, jednego z najważniejszych współczesnych poetów polskich, który wywodził się ze Lwowa. Specjalnie na tę okazję o wyjeździe Herbertów do Krakowa pisze dla nas prof. Rafał Żebrowski – siostrzeniec Poety, autor ważnej biograficznej książki o Herbertach „„Zbigniew Herbert. Kamień na którym mnie urodzono” (2011). Na jej stronach autor zebrał wszystkie informacje o rodzie Herbertów, do jakich udało mu się dotrzeć. Cezurą czasową tej książki jest rok 1945. Książka ukazała się w roku 2011 i dostępna jest tylko w bibliotekach, chyba że szczęście komuś dopisze i spotka ją w antykwariacie. W tym roku ukazała się też monumentalna dwutomowa biografia Zbigniewa Herberta autorstwa Andrzeja Franaszka pt. „Herbert. Biografia i niepokój”. Na bez mała dwóch tysiącach stron autor starał się ująć życiorys twórczy poety – jego wędrówkę rozpoczętą w 1924 r. we Lwowie i zakończoną w 1998 r. w Warszawie. Takie książki chętnie znalazłbym pod choinką...

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, które zwiastują nam zawsze nadzieję na miłszą przyszłość. Niech ta nadzieja pozostanie z Wami na cały następny Nowy 2019 Rok! Bieźmy do „Betlejemem pełni radości” śpiewając kolędę Karola Bołoz Antoniewicza dzieciąteczku z radością i miłością. Idźmy do Betlejem, gdziekolwiek by było, a każdy ma swoje Betlejem w Krakowie, Wrocławiu, Stanisławowie, Złoczowie czy Lwowie... Spokojnych i radosnych świąt życzyć! Do siego roku!...

Janusz M.Paluch



Jazłowiecka kołęda

(MOŻNA ŚPIEWAĆ NA MELODIĘ
LULAJŻE JEZUNIU)

Idą do Betlejem książęta i pany,
Wiele darów niosą króle i pogany,
A tam na uboczu wcale tu nieznani,
Srodze poranieni, klękają ułani.

Mundury zaszyli, rany zabliznili,
Barwy swe pułkowe w słońcu odświeżyli,
Stu pięciu ich klęczą w tej uroczej chwili
Wszyscy, co pod Wólką* o Polskę się bili...

Zapytał się Cieśla, skąd ten poczet zbrojny?
Przecież wojny nie ma i czas jest spokojny...
Na to wstał porucznik**, co szarżą dowodził,
I tak zameldował, choć głos go zwodził:

„Żołnierze my polscy w całym świecie znani,
Z pułku czternastego my lwowscy ułani,
W walce za Ojczyznę polegliśmy w chwale
Chcąc się przeciwstawić niemieckiej nawale.

Nic innego nie mając, służby swe składamy,
My jesteśmy żołnierze, jeszcze się przydamy.
Jedną prośbę dziś mamy wśród dostojnych panów,
Otocz łaską swą, Jezu, żyjących ułanów!”

* Szarża pod Wólką Węglową w 1939 r.

** śp. por. Marian Walicki

Wesołych Świąt

Marian Hemar

Kołąda Lwowska

Na Lewandówce,
W cichej kołyscy
Dziecko małeńkie
Jak ptaszyna kwili.

Chodźci na palcach,
Patrzci si wszyscy,
Lwowski Pan Jezus
Narodził si w tej chwili.

Matka bladziutka,
Matka szczęśliwa
Głaska dziecinę
I do serca tuli,

Głosem cieniutkim
Cicho mu śpiwa
Luli, ta luli,
Ta lulaj mi, ta luli.

A on aż oczki
Mruży z rozkoszy.
Luli, ta lulaj mi,
Synku najdroższy.

Matka bledziutka
Nuci i płaczy,
Synku najdroższy,
Ja si myśleć boim,

Ile cierpienia,
Ile rozpaczy
Bedzi przed tobą
I przed tym miastem twoim.

Jak ciebie strzec
Na ziemi i w niebie?
Kto cię uchroni,
Kto ciebie uchowa?

Przed tym nieszczęściem
Co porwie ciebie
Z ramion matczynych
I z twego miasta Lwowa?

Troska okropna
Serce mi płoszy
Luli, ach, lulaj mi,
Synku najdroższy.

Nad Lewandówką
W niebie się jarzy
Gwiazda ogromna
Jak miejska latarnia.

Widzą ją oczy
Lwowskich baciarzy,
I nagle dziwna
Nadzieja ich ogarnia.

Śnieg mokry pada,
W gęstej zamieci
Skrzydłami w mroku
Szumią jakieś echa

Leci w ciemności
Tłum lwowskich dzieci,
Lwowski Pan Jezus
Do nich się uśmiecha.

Chodźci tu wszyscy,
Patrzcie się wszyscy!
Taż On we Lwowie znów,
W swojej kołyscy!

Siwie oczęta
Mruży z rozkoszy.
Luli, ach, lulaj-żeż,
Synku najdroższy.



HERBERTOWIE JADĄ DO KRAKOWA

Zbigniew Herbert i jego najbliższa rodzina po prostu czuli się wygnañcami,łowymi egzulami z wiersza *Dlaczego wiecznego oddzielenia od miejsca, w które tak serdecznie wrośli, było całkiem niebrzydkie, pełne zabytków miasteczko, ukoronowane Wawelem. Przed wojną podróż doń nie była wcale długa. Mieli też tam rodzinę, a więc kuzynów, z którymi nie utrzymywali ściślejszych stosunków. Co innego dom kapitana Edwarda Herberta (por. *Guziki*). Wbrew swej specjalności wojskowej całkiem nie przypominał archetypu rycerza, wręcz zachował rodzaj miękkości charakterystycznej raczej dla lirycznego artysty niż pancerniaka. W wybudowanym w spółdzielni wojskowej mieszkaniu królowała Ciocia Miła, osoba, która niegdyś musiała posiadać cnoty nieprzeciętne, o czym opowiem Państwu kiedy indziej.*

Związków z tym miastem familia Herbertów miała znacznie więcej. Jednym z ciekawych tego śladów jest metryka chrztu najstarszego brata ojca Zbigniewa, a mego dziadka – Bolesława Herberta. Mój pradziadek Józef Franciszek był jednym z sekretarzy prześwietnego magistratu nadpęłtwiańskiej stolicy Galicji. 29 stycznia 1889 r. poślubił w katedrze lwowskiej o czternaście lat młodszą Marię Bałabanównę, córkę Józefa i Anny z domu Haller. Zięć i teść najprawdopodobniej poznali się w ratuszu, bowiem obaj działali we władzach miejskich. Rok po ślubie przyszło na świat ich pierwsze dziecko, syn Zdzisław Józef, trzymany do chrztu przez dr. Ferdynanda Weigla (1826–1901) i Angelę Müller. Najprawdopodobniej więc jego ojcem chrzestnym został wybitny prawnik i polityk, poseł na Sejm Krajowy, a w przeszłości również wiceprezydent i prezydent Krakowa, będący m.in. „budowniczym” wodociągów i konnego tramwaju pod Wawelem. To, że młodzi rodzice mogli zaprosić na „kuma” tak wybitnego człowieka, świadczy o dość wysokiej pozycji Józefa w świątku samorządowców galicyjskich. Niestety pierwsi dwaj jego synowie zmarli rychło, ale to już inna historia.

Rodzina przyszłego Poety była nie najgorzej sytuowana. Ojciec kierował od 1924 r. Małopolskim Bankiem Kupieckim, kilka lat wcześniej powstałą spółdzielczą instytucją finansowo-kredytową. Starał się ją nie tylko rozwinąć i ochronić w czasie gwałtownych perturbacji gospodarczych kraju, ale przede wszystkim traktował swe zajęcie jako służbę społeczną. Toteż rychło włączył się w działania zmierzające do rozwoju spółdzielczości – najpierw w Małopolsce Wschodniej, a później na forum ogólnokrajowym. Musiał więc mieć dość rozbudowane kontakty ze środowiskiem animującym spółdzielczością w Małopolsce Wschodniej, której stolicą był Kraków, co miało poważne znaczenie dla naszej opowieści.

Wychowaniu dzieci państwo Herbertowie poświęcali bardzo wiele uwagi. Toteż można z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż co najmniej parokrotnie bywały one na wycieczkach w dawnej stolicy kraju. Niestety nie znam relacji na ów temat. Wszakże jedna wyprawa zapisała się w pamięci rodzinnej na tyle mocno, że i ja o niej usłyszeć mogłem. Było to po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, kiedy dla uczczenia jego pamięci w grodzie Kraka sypano kopiec. Co ciekawe, Bolesław Herbert nie był szczególnym admiratorem tej postaci historycznej. Jako prawnik, politolog, człowiek o poglądach liberalno-konserwatywnych nie akceptował lekceważenia mechanizmów demokratycznych. Uważał też, że legenda Marszałka zdominowała ówczesną narrację oficjalną o odzyskaniu niepodległości ze szkodą dla prawdy historycznej. Rozmawiał też o tym z dziećmi np. wyjaśniając, dlaczego nie uczestniczy w wyborach parlamentarnych, zwanych dziś brzeskimi. Jednak najwyraźniej nie był doktrynerem, a i musiał brać pod uwagę, że jego potomkowie chodząc do szkół publicznych spotykają się tam ze zgoła innym przekazem. Poza tym, jakże mógł się oprzeć zapałowi dzieci do tej wyprawy i uczestniczenia w dziele historycznego upamiętnienia Marszałka. A swoją drogą jedną z najważniejszych przyczyn entuzjizmu młodych Herbertów do całej eskapady



była perspektywa zdobycia pamiątkowych łopatek, które mogły stać się ich łupem po przepracowaniu jakiegoś czasu przy sypaniu kopca. Skądinąd wiemy, że ów suvenir przyjmował różne formy – od mosiężnego znaczka wpinanego w klapę do niewielkiej szufelki mającej kształt szpadla. Niestety rodzicielka ma już nie pamiętała, czego dumnym posiadaczem stał się każdy z uczestników ówczesnej krakowskiej wyprawy Herbertów. Natomiast z całą pewnością nie korzystali wówczas z gościnności rodziny, a wizyty składali li tylko kpt. Edwardowi Herbertowi.

A potem – jak sam autor *Pana Cogito* napisał w *Lekcji łaciny* – przyszli barbarzyńcy. Bolesław Herbert z pewnością był znakomicie poinformowany o tym, jakie na jego rodzinę mogą czyhać zagrożenia pod sowieckim zaborem. Rychło też stał się posiadaczem osobistych w tej materii doświadczeń. Jako dyrektor banku został wezwany przez władze bezpieczeństwa okupanta. Dość skutecznie wytłumaczył swym „interlokutorem”, że nie jest żadnym bankierem, a administratorem instytucji społecznej. Jednak dobrze wiedział, że nie należy przywiązywać zbyt dużego znaczenia do faktu, iż puszczone go wolno. W przesłuchaniu nie pojawiło się bowiem wiele istotnych wątków, np.: służby w Legionach, udziału w obronie

Lwowa przed Ukraińcami i konarnią Budionnego w 1920 r., różnego typu działalności na niwie ekonomicznej, prowadzenia zajęć na wyższej uczelni. Toteż Herbertowie postanowili skorzystać z możliwości oficjalnej wymiany ludności pomiędzy oboma agresorami, którzy zniewolili Polskę w 1939 r. Bardzo sumiennie i praktycznie się do tego przygotowywali. Wówczas wszakże nic z tego nie wyszło. Dowiedzieli się bowiem, że zdarza się nierzadko, iż formalnie zakwalifikowani do przeprowadzki pod okupację niemiecką bywają poddawani – najdelikatniej mówiąc – dość okrutnym szykanom ze strony sowiektów. Ryzyko wydawało się im zbyt duże, więc zrezygnowali. Niestety nie wiem, gdzie się wówczas chcieli udać, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że celem ich „emigracji” – tak jak w 1944 r. – mógł być Kraków.

Podczas okupacji niemieckiej we Lwowie Bolesław Herbert założył niewielką kasę zapomogowo-pożyczkową. O ile mi wiadomo, dążył do wznowienia działalności jakiejś formy banku spółdzielczego, który byłby oddziałem tego typu instytucji krakowskiej. Choć oba miasta wówczas należały do Generalnego Gubernatorstwa, to jednak Niemcy nie pozwolili na takie rozwiązanie w stolicy Dystryktu Galicja. Niemniej mój dziadek zdołał wydębić jakieś fundusze pochodzące właśnie z Krakowa, które wystarczyły na rozpoczęcie w bardzo ograniczonej skali kredytowania miniprzedsięwzięć gospodarczych, właściwie bardziej zasługujących na miano „samopomocowych”. Ojciec przyszłego Poety podśmiewał się, że finansuje wyłącznie „inspektorów”, czyli osoby uprawiające w inspektach pietruszkę, marchewkę i temuż podobne dobra, wówczas luksusowe. Była to w sumie taka pozytywistyczna walka o zachowanie narodowego *vis vitalis*, co rodzina „bankiera” rozumiała dobrze, gdyż sama zaznawała dotkliwego niedostatku żywności, a matkę zmuszało do podejmowania bardzo ryzykownych eskapad poza miasto w celu zdobycia wiktuałów. Jako dziecko słuchałem z wypiekami na twarzy jej pełnych nieklamanej dumy opowieści o swych przewagach na tym niedocenianym, ale jakże istotnym froncie światowego konfliktu.

Herbertowie wyjechali ze Lwowa wczesną wiosną 1944 r. Nie była to decyzja łatwa. Wówczas w społeczeństwie polskim dość powszechnie uważano, że to niegod-

ne. Nazywano to ucieczką, wręcz dezercją. Rzeczywiście nietrudno było wówczas tak uważać. Chyba niewielu lwowian wówczas zakładało, że los ich miasta jest już przesądzony i nie ma takiej siły, by zatrzymać nielitościwy wyrok. Przecież włożyli tyle wysiłku i nie szczędzili ofiar, by wytrwać w swym kresowym grodzie, zachować go dla odrodzonej Polski. Także swój nie mający udział w tym dziele miał ojciec tej rodziny, o czym już wspominałem. Co prawda działy się rzeczy straszne. Wschodnia Małopolska stała w ogniu, a mordy dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów, przy czynnym udziale czasem dotąd serdecznych sąsiadów, docierały do coraz bliższych okolic. Zdarzały się także wypadki rozlewu krwi w mieście, ale przecież już kiedy do lwiego grodu wkraczali Niemcy, niejeden świadomy powagi chwili lwowianin wstrzymywał oddech. Należał do nich i Bolesław Herbert, ale jego najbliżsi zdawali się to całkiem lekceważyć, zapatrzeni w legendę kresowej twierdzy, o której mury rozbijały się przez wieki fale kolejnych najazdów. Nie zmienili zdania nawet wówczas, kiedy 12 września 1943 r. w niewyjaśnionych okolicznościach został zastrzelony profesor Andrij Łastoweckij, dziekan na Kursach Zawodowych, na które uczęszczała Halina Herbert, siostra przyszłego Poety, moja Mama. W akcie zemsty prof. Bolesław Jałowy, były dziekan medycyny w latach 1940–1941, został zastrzelony na ulicy we Lwowie pod wieczór 1 października. Pogrzeb tej ofiary był wielką demonstracją społeczności polskiej.

Stało się to zaledwie dwa tygodnie po zgonie najmłodszego dziecka Herbertów, Januszka. Śmierć tego nastoletniego skrzata, dziecka największych nadziei, do której z całą pewnością w normalnych warunkach by nie doszło, pogrążyła całą rodzinę w depresji. Kiedy malec konał, jego rodzzeństwo leżało krzyżem w szpitalnej kaplicy, błagając o ratunek. Prawdopodobnie to wówczas moja matka zdecydowała, że będzie pediatrą, a i w drodze do twórczego powołania jej brata był to ważny moment.

Nie można zapominać, że pod koniec okupacji sowieckiej ciężkiemu wypadkowi narcyjskiemu uległ sam Zbigniew Herbert. Choć opiekował się nim prof. Adam Gruca, ojczym jego ówczesnej sympatii, po zdjęciu gipsu okazało się, że ze ścięgniami jest

coś nie w porządku. Nastąpiła bardzo długa i niezwykle bolesna próba ratowania pełnej sprawności młodzieńca. Była ona bezskuteczna, a wycie, dosłownie wycie, rekonwalescencja podczas wizyt rehabilitanta wypędzało nieraz najbliższych z domu nawet w największe mrozy. To potem Januszek musiał ku swemu żalowi powrócić do dzieciennego łóżeczka, gdyż miejsca na jego „dorosłym postaniu” potrzebował okaleczony, niestety już na zawsze, brat. W czasie tych wszystkich traumatycznych wydarzeń do Lwowa zbliżał się front niemiecko-sowiecki. Na przełomie stycznia i lutego 1944 roku zaczęła się ewakuacja zakładu profesora Rudolfa Weigla, gdzie pracowały dzieci Herbertów. Tak więc Halina i Zbigniew wówczas utracili wszystkie przywileje związane z zatrudnieniem przy wytworzeniu szczepionki antytyfusowej, a przede wszystkim wynikające z tego względne gwarancje bezpieczeństwa. W międzyczasie także unicestwione zostały możliwości kształcenia się dzieci: Haliny na Medycznych Kursach Fachowych, czyli w praktyce na konspiracyjnym Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza, a w przypadku przyszłego Autora *Pana Cogito*, absolwenta podziemnej matury z 1943 r. – na kompletach tejże uczelni. I oto lwowski lekarz, którego nazwisko trudno odcyfrować, 16 marca 1944 r. wystawił zaświadczenie, iż Zbigniew ma chorobę prawą stopę i będzie ją musiał leczyć przez osiem tygodni. Jest to dowód na to, że już wówczas Herbertowie myśleli co najmniej o tym, jak uchronić pozostalego przy życiu syna przed wyciągnięciem z domu do robót fortyfikacyjnych lub wręcz zapewnić możliwość wyjazdu.

O wszystkim jednak zadecydować miało zdanie ojca. Charakterystyczne jest to, że choć po zgonie najmłodszego lato-rośli mój dziadek trwale powadził się z Bogiem, to równocześnie wyjaśniał bliskim, iż nie należy Stwórcy prowokować, lecz wręcz konieczno-



Halina Herbert (1944)



Zbigniew Herbert pod koniec (1943)

ścią jest uszanowanie cudu, który sprawił za tzw. pierwszych sowietów ocalenie tej rodziny przed zsyłką do łagru lub przynajmniej w stępy Kazachstanu. No i stało się. Wedle mojej oceny, w niedzielny ranek 26 marca 1944 Herbertowie zamknęli za sobą drzwi swego mieszkania przy Obozowej. Każdy z egzulów

(matka, ojciec, siostra i przyszły Poeta) dźwigał dwie walizki, z tym że jedno z nich niosło dość poważnych rozmiarów rulon ze zdjętymi z blejtramów obrazami. Dostanie się do pociągu wcale jeszcze wówczas nie było zagwarantowane, gdyż do zbawczego środka komunikacji prowadził prawdziwy bieg z przeszkodami: ku bocznicy poprzez rozjazdy kolejowe; potem atak, by wdrzeć się do wnętrza; wreszcie zdobycie miejsc siedzących, które jeszcze trzeba było obronić przed rozmaitymi mundurowymi funkcjonariuszami, posuwającymi się często do bardziej drastycznych metod niż karczemne wrzaski.

Wszystko skończyło się dobrze, o ile takiego eufemizmu można użyć. Nasi uchodźcy dojechali do Krakowa następnego dnia. Pierwsza przystań była dla nich przygotowana. Stało się to za sprawą odległego kuzynostwa Bolesława Herberta, państwa Pawłowskich. Jeden z nich, Tadeusz, prowadził elegancki sklep w Stanisławowie, a będąc tam świadkiem strasznych rzeczy, kupił wówczas małe mieszkanie właśnie w Krakowie przy ul. Wielopole, niedaleko od poczty głównej, i przeniósł się jeszcze wcześniej z rodziną do względnie bezpieczniejszej ówczesnej stolicy Generalnej Guberni. Tu Herbertowie, co z całą pewnością zostało uprzednio uzgodnione, znaleźli pierwsze schronienie. Również wspólnie z Pawłowskimi przygotowywali i obchodzili swe pierwsze święta wielkanocne „na wychodźstwie”. Tutaj też dzięki przedwojennym kontaktom ojciec miał mieć zapewnione odpowiednie stanowisko w spółdzielczej bankowości, o czym już napomykałem. Sprawa ta się przeciągała, co było bardzo frustrujące, bo przywiezione ze Lwowa środki ledwie starczały na opędzenie najniezbędniejszych

wydatków i nawet nie dawały szansy na wynajęcie mieszkania, ale po kilku miesiącach i ta bariera została pokonana.

Szczęśliwie odpowiedzi na pytanie o pierwsze wrażenia z „krakowskiego wygnania” może udzielić sam Zbigniew Herbert. Jego ówczesny najbliższy przyjaciel Zdzisław, syn zamordowanego prof. Stanisława Ruzewicza, przedstawiciela lwowskiej szkoły matematycznej, ostatniego przedwojennego rektora Akademii Handlu Zagranicznego, pozostawał wówczas z matką we Lwowie. Przyszły Poeta nie zaniedbywał żadnej okazji, by wspierać go listami oraz nie przestawał myśleć o tym, jak mu pomóc, a przede wszystkim ściągnąć do Krakowa. A że owa korespondencja się zachowała, to możemy oddać mu głos:

[29 III 1944]

Samym miastem jestem zdumiony, jak objawieniem, i do dziś nie mogę sobie z nim dać rady, jak młodzieniec, który pierwszy raz ubrał sztywny kołnierzyk. Otóż zastanawiający jest tu spokój (w zestawieniu z ruchem we Lwowie), a przez Starowiślną (jedna z głównych ulic) w ciągu całego dnia nie przejeżdża tyle pojazdów, ile przez Łyczaków w ciągu 1 godziny. Nastrój miasta, od którego wojna toczy się [o] 1000 km, atmosfera odmienna niż u nas, rozpanoszone burzujstwo, wypoczęte twarze, elegancki tłum (przed kinami), coś, co nas od nich zasadniczo różni. Wieczór, miasto jasno oświetlone, znów elegancki tłum (ci ludzie nie widzieli bolszewików), bardzo dużo sklepów, powaga zapięta na ostatni guzik, coś przedwojennego, ale dla nas bardzo dziwnego i śmiesznego zarazem. Całymi dniami włóczę się po Krakowie (lubię go bardzo jako całość architektoniczną, nie jako skupisko ludzi) i gryzie mnie, jak weszł śp. Weigla¹, tęsknota za Lwowem naszym kochanym. Tu panny (skądinąd nawet ładne, choć do naszych się nie umywały), nawet panny śmieją się sztucznie i wymuszenie. Nie widziałem nikogo, kto by szedł przez

¹ Profesor Rudolf Weigel był wówczas pośród żywych, więc albo Herbert opierał się na krążących wówczas pogłoskach, albo też miał na myśli to, iż był niegdyś w jego zakładzie zatrudniony jako karmiciel wszy. Siostra Halina, jako adeptka medycyny, rychło awansowała na preparatorkę.

Legitymacja Bolesława Herberta wydana w 1945 r. przez Urząd Wojewódzki w Krakowie

ulice i nucił sobie, kto by się uśmiechał do nieba, czy choćby idąc przez ulicę, kopał (o, tak dla sportu) kamień. W krakowskich tramwajach (niebieskich jak karawany) nie ma nikogo, kto by się tak zabawnie kłócił jak u nas. Jest zatem jakoś smutno. Jeden plus, i to olbrzymi, to to, że jest się między swoimi w Polsce, wśród Polaków, których się rozumie i z którymi się można dogadać. Na ulicy słyhać niemal wyłącznie [mówiących] po polsku. Łapanek czy innych obozów, którymi tak straszili bracia we Lwowie, nie ma². Co jeszcze? Ale chyba tylko tyle, że jest tu moc wróbli, które są jedynymi obywatelami cieszącymi się życiem, jak przykazał św. Franciszek.

W następnym liście dodawał:

[1 IV 1944]

Siedzę oto sobie w wygodnym i przyzwoitym saloniku (na ścianie Grottger, Axentowicz, Kossak, Sichulski – ten ostatni wspomniały) i rozmyślam o smutnym losie wygnanych i wydziedziczonych. Jestem przy tym potężnie najedzony i subtelnie melancholijny (nucę bez przerwy, co rozstraja nerwy wszystkim naokoło, popularne piosenki lwowskie; np. Ten drogi Lwów...).

Dzisiaj jest niedziela³. Byłem w kościele Mariackim na mszy (ołtarz zrabowany, b[ardzo] przykre wrażenie, tak że przez całą „służbę bożą” kłamię wszystkich Szwabów z Frankiem⁴ na czele). Potem widziałem zmianę warty przed Wawelem (z orkiestrą i karabinami maszynowymi). W tym miejscu chciał mnie trafić, wyrażając się po lwowsku, szlak⁵. Poszedłem wobec tego na Skalkę i rozmawiałem sobie dobrą godzinkę z Wyspiańskim; mówiłem coś o sile narodu, że wytrwamy, że

² Podkreślenie Herberta oraz wyraz dość złudnego mimo wszystko poczucia bezpieczeństwa, które jednak było pochodną nastroju, jaki panował pod Wawelem.

³ Pomyłka, albowiem 1 IV 1944 przypadał w sobotę.

⁴ Hans Frank (1900–1946), generalny gubernator Generalnego Gubernatorstwa, rezydujący na Wawelu, później stracony jako zbrodniarz wojenny na mocy wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze.

⁵ Herbert pisze „szlak” i rzeczywiście znana mi jest co najmniej jedna lwowska piosenka, w której słówko to pojawia się właśnie w takiej formie.



historia się powtarza; i zdało mi się, że szumiała nade mną Nike z Wyzwolenia, a może to był stary więź, rosnący na podwórzu kościoła. Dalej szedłem szukać głosu złotego rogu – nad Wisłą. Pętałem się po bulwarach, włożyłem na stołki i patrzyłem się, patrzyłem (śliczna rzeka, jak Boga kocham, nasza rzeka, polska). W końcu wróciłem do domu (nie swego), zjadłem obiad i na odmianę zacząłem myśleć o Lwowie i o Tobie, Stary Druhu. Myśli moje płynęły szeroką rozśpiewaną, wielką Wisłą, tylko że ta Wisła wpadała do Pełtwi...

Nic dodać nic ująć! No, może ów słynny i dla mnie przejmujący fragment wiersza Dłaczego klasycy:

... ponieważ Tutykides spóźnił się z odsieczą

zapłacił za to rodzinnemu miastu
dozgonnym wygnaniem

egzulowie wszystkich czasów
wiedzą jako to cena (...)

A może ów z Raportu z obłożonego miasta:

... i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po
drogach wygnania
on będzie miasto (...)

Rzeczywiście w twórczości Herberta słowo „miasto” pada nader często i zawsze znaczy ono Lwów lub Ojczyzna, tak jak dla starożytnych Greków.

Prof. dr hab. Rafał Żebrowski, historyk, eseista, siostrzeniec Zbigniewa Herberta. Autor fundamentalnej książki o rodzinie Herbertów *Zbigniew Herbert. „Kamień na którym mnie urodzono”*.

O losach i działalności Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego

WSTĘP

W badaniach z zakresu historii medycyny lwowska szkoła medyczna zajmuje szczególne miejsce ze względu na jej wielki wpływ na rozwój medycyny, nie tylko polskiej, ale i światowej, a także na rozwój kultury światowej. Ogromne znaczenie badań nad historią medycyny wynika z tego, że według terapeuty Dariusza Białasa, zdrowie i prawo do zdrowia stanowią współcześnie jedną z wartości uniwersalnych i utylitarnych, określaną jako kapitał zdrowia lub potencjał zdrowia wspólnoty. Wiedza historyczna ma nieocenione znaczenie w procesie budowania zaufania do medycyny i promowania zdrowia w społeczeństwie.

W dostępnych badaniach, dotyczących historii lwowskiej szkoły medycznej, poświęcono wiele uwagi działalności Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego, powstawaniu i rozwojowi wąskich specjalności czy nawet działalności szpitali. Temat historii towarzystw lekarskich pozostawał przez dłuższy czas niedostatecznie zbadany, chociaż lwowskie środowisko medyczne posiada bogatą historię zrzeszania się w towarzystwa zawodowe. Jednak dostępne publikacje zawierają niekiedy sprzeczne lub niewłaściwie interpretowane informacje.

Witold Ziembicki w 1928 r. pisał, że „Lwowskie Towarzystwo Lekarskie nie ma jeszcze swej pisanej historii. Przyszły jego historyk będzie miał zadanie piękne i wdzięczne. Dzieje naszego Towarzystwa są bowiem nie tylko odzwierciedleniem ruchu naukowo-lekarskiego, jakim tętnił Lwów, stolica tej dzielnicy ziem polskich. Usiłowania i prace Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego sięgały daleko poza program naukowo-lekarski”. Słowa W. Ziembickiego są aktualne i dzisiaj – w przededniu 150. rocznicy założenia Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego, gdyż i do dziś nie została wydana historia całokształtu jego działalności. Lwów ma świetne tradycje lekarskie. Już w XVI i XVII wieku bogaty patrycjat lwowski kształcił

swych synów w filozofii, prawie lub medycynie. Kwitło zamiłowanie do nauk medycznych i przyrodniczych. We Lwowie i okolicach od dawnych czasów funkcjonowały szpitale, w których pracowało wielu lekarzy.

Niewątpliwie najstarszym i najbardziej znanym nie tylko we Lwowie, ale i w całej Galicji, był Szpital Powszechny we Lwowie, wokół którego skupiało się życie lwowskiej lekarskiej społeczności. Zakład medyczny został zbudowany w 1693 r. jako szpital Bonifratrów na koszt Fundacji Jana Sobieskiego. W 1783 r. szpital Bonifratrów przeniesiono do pomieszczeń znajdującego się w pobliżu Kolegium Pijarów. W dalszych latach szpital przekształcił się w najbardziej reprezentacyjny zakład leczniczy Lwowa i nosił różne nazwy – Krajowy Szpital Ogólny, Lwowski Szpital Powszechny, Państwowy Szpital Ogólny, a obecnie – Lwowski Wojewódzki Szpital Kliniczny. Na początku XIX w. praktycznie w każdym powiatowym mieście województwa lwowskiego funkcjonowały szpitale ogólne: w Samborze od 1925 r., w Drohobyczu i w Brodach – od 1831 r., w Żółkwi – od 1844 r., w Złoczowie – od 1847 r., w Stryju – od 1848 r., w Sokalu – od 1878 r., w Przemyślanach – od 1897 r., w Turce – od 1900 r. Zazwyczaj szpitale te utrzymywane były z funduszy państwowych lub miejskich. Poza tym zasoby niektórych szpitali były wspierane datkami dobroczynnymi (np. w Żółkwi), a także pewnymi kwotami z funduszy kas sądowych i policyjnych. Z powodu zaistniałej sytuacji polityczno-gospodarczej, w porozbiorowym Lwowie zapanowała atmosfera, dzięki której stolica zacofanej Galicji stała się zapleczem wykształconej kadry wywodzącej się z ludności utożsamiającej się w znacznym stopniu z polską kulturą i deklarującą polską narodowość.

Wskutek rozwoju politycznego i rosnącego napływu kadr urzędniczych do Lwowa, nastąpił w mieście rozwój edukacji, w tym szkolnictwa wyższego. Rozwój miasta wią-

zał się nierozzerwalnie z nasileniem potrzeb zdrowotnych. Wzrastająca liczba mieszkańców i masowa migracja ludności sprawiły, że narastały dolegliwości natury zdrowotnej, wobec czego równolegle rosła liczba praktyk lekarskich. Wśród osiedlających się we Lwowie medyków było wielu, którzy władali nowymi, inspirującymi sposobami, stosowanymi aktualnie w lecznictwie, zgodnymi z nowoczesnymi na te czasy nurtami w nauce, rozumieli i propagowali znaczenie promocji zdrowia i edukacji zdrowotnej. Lekarze we Lwowie dostrzegli w nowych warunkach nie tylko możliwość osiągnięcia sukcesu ekonomicznego, ale również możliwość rozwoju działalności naukowej. Od samego początku dążyli do połączenia rozproszonych praktyk więzami współpracy na bazie nowoczesnej nauki. W dostępnym piśmiennictwie można napotkać informację o organizacji lwowskich lekarzy, zwanej *Medizinische Konversation* (Medyczne rozważania), którą historyk medycyny Witold Ziembicki uważał za prototyp zawodowego zrzeszenia i przypuszczał, że była ona założona jeszcze w 1842 r. Z czasem, za przykładem Wiedeńskiego Towarzystwa Lekarzy, stworzono Asocjację Praktykujących Lekarzy Lwowa *Vereins der Praktischen Aerzte in Lemberg*.

ORGANIZACJA TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO WE LWOWIE

Przez skorupę austriackiego biurokracizmu zaczęło przebiegać się w społeczeństwie, szczególnie w kręgach lekarskich, poczucie własnej wartości, które pobudzało ich do łączenia się i wspólnej pracy twórczej. Marzenia o kooperacji lekarskiej pojawiły się już w latach 1862–1863, których wyrazicielem w 1863 roku był chociażby Józef Starkel. I mimo że w owym czasie lekarze byli rozrzućeni po całym terytorium kraju, propozycja stworzenia towarzystwa nie otrzymała poparcia ani we Lwowie, ani w Krakowie, bo, być może, nie uwzględniono wielu czynników zrzeszających. W 1866 r. J. Starkel, powołując się na swoje poprzednie wystąpienie w 1863 r., ponownie zaproponował stworzenie krajowego towarzystwa le-

karskiego, które byłoby ośrodkiem nie tylko działalności naukowej, ale i reprezentantem lekarzy przy rozstrzyganiu spraw społecznych. Należy zaznaczyć, że począwszy od 1851 r. na fali rewolucyjnych wydarzeń, w Austrio-Węgrzech przyjęto szereg dokumentów o wolności zrzeszeń, wśród nich Prawa o towarzystwach.

Inicjatorami założenia Towarzystwa Lekarskiego we Lwowie i autorami jego statutu byli Bolesław Głowacki, Józef Milleret, August Noskiewicz i Zygmunt Rieger. Prace nad statutem trwały już od 12 lutego 1867 r., a 8 września nadeszło cesarskie postanowienie zezwalające na zawiązanie Towarzystwa Lekarskiego, które mianowano Towarzystwem Lekarzy Galicyjskich i równocześnie zatwierdzające statut tej organizacji. Na pierwsze założycielskie zebranie Towarzystwa, które odbyło się 2 grudnia 1867 roku w dużej Sali Radnej Lwowskiego Ratusza, przybyło 47 lekarzy praktykujących we Lwowie, którzy własnoręcznie wpisali swoje nazwiska do aktu pamiątkowego.

Spośród tych lekarzy – 38 (80%) było mieszkańcami Lwowa, a co piąty – lekarzem Powszechnego Szpitala we Lwowie. Po podpisaniu się obecnych „na wieczną rzecz pamiątkę na arkuszu ku temu przygotowanym”, na zebraniu założycielskim przystąpiono do wyboru „komitetu zawiadowczego”. Przewodniczącym został wybrany dr Szczęsny Maciejowski, jego zastępcą dr Karol Berthleff, skarbnikiem dr Franciszek Kosiński, podskarbnim dr Wojciech Wołek, sekretarzami dr Zygmunt Rieger i dr Oskar Widmann, członkami rady zawiadowczej zostali wybrani: dr Józef Finger, dr Bolesław Głowacki, dr Józef Molendziński, dr August Noskiewicz, dr Herman Witz i dr Grzegorz Ziembicki. Jako



Łazienki mineralne w Morszynie. Źródło: Biblioteka Narodowa. Sygnatura Pocz. 16882.

główne kierunki działalności Towarzystwa przyjęto: pracę lekarsko-naukową, organizacyjną, działalność humanitarną, patriotyczną, problemy etyki lekarskiej. Pięknie to brzmi w oryginale, przytoczonym w kronice Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego, wydanej przez M. Hermana z okazji 30-letniej rocznicy jego fundacji.

Pierwszy paragraf ustawy Towarzystwa Lekarskiego Galicyjskiego określał cele Towarzystwa, a były nimi:

- „1. Wspólna praca około rozwoju nauki lekarskiej, przedewszystkiem w kierunku praktycznym, z uwzględnieniem stosunków sanitarnych kraju całego.
2. Krzewienie ducha spójności i koleżeństwa między członkami zawodu lekarskiego, wspieranie się wzajemną radą i czynem, czuwanie nad interesami stanu lekarskiego.
3. Niesienie pomocy materialnej podupadłym członkom Towarzystwa, tudzież pozostałym po nich wdowom i sierotom.”

Niestety w ogólnopolskim środowisku lekarskim założenie TLG spotkało się z oceną negatywną. Zdziwienie wywoływała nazwa Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich, a nie lwowskich. Były sugestie, że siedziba Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich powinna znajdować się w Krakowie, niektórzy zaprzeczali także potrzebie wydawania własnego czasopisma. Interesująco pisze o tym M. Herman w swojej kronice: „A te lata niemowlece nie były zgola „sielskie, anielskie”. Ciepła i ufa

w poparcie odezwa najpierw komitetu zawiązującego, potem Rady zawiadowczej TLG, raz i drugi ponawiana spotkała się z mrozącą obojętnością kolegów z prowincyi i brakiem zachęty ze strony o wiele starszego Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego”. Jednak zapał lekarzy lwowskich trudno było powstrzymać i 2 grudnia 1867 r. rozpoczęli „swoją szlak”.

ETAPY ROZWOJU I DZIAŁALNOŚĆ

W historii Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego wiadome są 3 okresy jego rozwoju i działalności:

- I 1867–1877 – Towarzystwo Lekarzy Galicyjskich
- II 1877–1900 – Sekcja Lwowska Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich
- III 1900–1939 – Towarzystwo Lekarskie Lwowskie.

W latach 1867–1877 Towarzystwo Lekarskie, założone we Lwowie przez lwowskich lekarzy, funkcjonowało jako Towarzystwo Lekarzy Galicyjskich.

W 1877 r. uchwalono zmiany do statutu, zgodnie z którymi TLG podzielono na sekcję. 17 marca 1877 r. oficjalnie wyłoniono Sekcję Lwowską, chociaż istniała ona faktycznie od momentu założenia Towarzystwa.

W tym okresie powstało 16 sekcji w poszczególnych miejscowościach: Złoczów (30.05.1877), Przemyśl (31.05.1877), Brzeżany, Bochnia, Wadowice, Zaleszczyki, Żółkiew, Nowy Sącz, Sambor, Sianek, Stanisławów, Strzyż, Tarnopol, Czortków, Jasło. Z początku po tej reorganizacji liczba członków TLG wynosiła 110 osób, z nich 78 (71%) stanowili lekarze mieszkający we Lwowie. Po reorganizacji w 1877 r. każda sekcja TLG wybierała osobno przewodniczącego, sekretarzy i skarbnika. Stworzono kierowniczy organ – Radę Zawiadowczą, przewodniczącym której był równocześnie przewodniczący TLG. Zgodnie z podziałem obowiązków Towarzystwo spełniało funkcję organizacyjną i humanitarną. Uchwały podejmowano na walnym zebraniu.

Kolejny etap działalności rozpoczął się w latach 1894–1897.



W związku z otwarciem pierwszych klinik nowo powstałego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego, do Towarzystwa dołączyło wielu naukowców, co spowodowało potrzebę jego reorganizacji i wprowadzenia zmian statutowych. Z inicjatywy profesorów E. Macheka, A. Gluzińskiego i R. Renckiego Lwowska Sekcja Towarzystwa została zamieniona w Towarzystwo Lekarskie Lwowskie (TLL) – oficjalnie od 30 listopada 1900 roku.

Na osobną uwagę zasługują okoliczności, które zaistniały wokół zamiarów połączenia TLG z Krakowskim Towarzystwem Lekarskim (KTL). Pertraktacje w tej sprawie były prowadzone w ciągu wielu lat. Ich inicjatorem był A. Biesiadecki – wychowanek KTL i wieloletni prezes TLG. Z tego powodu w 1876 r. były inicjowane pierwsze strategiczne zmiany w statucie. Jednak coroczne pertraktacje nie przyniosły rezultatu, gdyż jednym albo drugim nie odpowiadały warunki umów. Ostatecznie, na posiedzeniu 3 grudnia 1879 r. KTL uznało, że połączenie będzie korzystne, jednakże postawiło wiele warunków, między innymi ten, że TLG powinno nazywać się Towarzystwem Lekarzy Galicyjskich i Krakowskich. W 1880 r. dalsze pertraktacje doprowadziły do zawarcia umowy o częściowym połączeniu z Krakowskim Towarzystwem Lekarskim, która to umowa okazała się porozumieniem o wspólnym organie prasowym i wspólnej kasie pomocy wzajemnej, o wzajemnym zaliczaniu składek członkowskich, o uregulowaniu praw i obowiązków przy przejściu z jednego towarzystwa do innego. Trzeba przyznać, że w ciągu kolejnych lat między towarzystwami utrzymywały się bardzo zażyłe stosunki koleżeńskie: połączono fundusze wspierania wdów i sierot, wzajemnie zapraszano się na wystąpienia, wspólne posiedzenia i in. Trzy wyżej wymienione okresy w rozwoju i działalności TLL, według zdania W. Ziembickiego, wyrażonego w kronice TLL, „odpowiadają trzem pierwszym okresom życia ludzkiego. Okres pierwszy – to lata niemowlęce, ząbkowanie i szczęśliwy wiek dziecięcy, dla którego nieświadoma walka o byt i samo życie jest już szczęściem. Okres drugi – odpowiada wiekowi młodzieńcemu: w łonie Sekcji zaznacza się już pewne niezadowolenie ze stanu obecnego, rada porywa się do samodzielnych występów na

zewnątrz ... Lecz gdy młodzieniec dojrzeje w męża, nieznośnemi stają się mu nawet miękkie i choćby jedwabne pęta macierzyńskie. A właśnie w roku 1901 Sekcja nasza zaczęła dojrzewać w męża i w dążnościach ku zupełnemu usamodzielnieniu ...”. A dalej W. Ziembicki rozważa, „że data początków naszego Towarzystwa może być pojmwana rozmaicie. Historyczną datą, w której de facto zorganizowało się we Lwowie pierwsze zrzeszenie lekarskie, mające cel zarówno naukowy, jak humanitarny, jest dzień 2 grudnia 1867 roku”. M.W. Herman, stały sekretarz Towarzystwa, wydając kronikę z okazji trzydziestolecia istnienia, nazwał ją kroniką Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego. R. Rencki, przemawiając na jubileuszu TLL, wyraził się, że TLL kończy 60 lat swej działalności humanitarnej.

CZŁONKOSTWO

Jak już wcześniej wspomniano, Towarzystwo Lekarskie we Lwowie w chwili założenia w roku 1867 liczyło 47 członków. W 1908 r. było ich już 300, z czego 80% stanowiły osoby nowo przyjęte. O liczbie członków Towarzystwa każdego roku nie ma dokładnych informacji, ponieważ wiele dokumentów zaginęło w burzliwych latach wojen światowych. Coroczna liczba członków Towarzystwa zmieniała się w zależności od politycznej i socjalno-ekonomicznej sytuacji w państwie. I tak podczas I wojny światowej ilość członków rażąco zmniejszyła się do 20–30 osób. Dopiero od 1921 r. rozpoczęła się tendencja wzrostowa. W 1928 r. liczba członków wynosiła 500 i do 1939 r. utrzymywała się mniej więcej na takim poziomie. Dynamika liczby członków TLL, jak i inne dane o jego wieloletniej działalności zostały przedstawione graficznie w kronice M. Hermana. Liczba członków Towarzystwa z ogólnej liczby lekarzy, którzy mieszkali we Lwowie w 1867 r. stanowiła 82,5%, w 1877 r. – 89%, w 1887 r. – 87,7%, w 1897 r. – 71%, w 1907 r. – 67% i w 1927 r. – 29%. Jak wynika z materiałów dostępnych w piśmiennictwie medycznym, wśród członków TLL w pierwszych czterdziestu latach jego istnienia nie było niestety kobiet, ponieważ, jak wiadomo, kobiety w owych czasach nie były dopuszczane do studiów lekarskich. Pierwszą kobietą, która w 1896 roku złożyła dokumenty na studia na Wydziale Lekar-

skim Uniwersytetu Lwowskiego była Flora Mira Ogórek, przy czym musiała udowodnić, iż posiada wystarczającą wiedzę, aby podjąć studia. Jakkolwiek dyplomu lekarskiego we Lwowie nie uzyskała, wiadomo że w 1904 r. prowadziła prywatną praktykę i była w spisie dyplomowanych lekarzy Lwowa. Od 1908 r. F. M. Ogórek była członkiem Towarzystwa Higienicznego i systematycznie drukowała swoje prace w „Przeglądzie Higienicznym”. W 1906 r. wśród lwowskich lekarzy były już cztery kobiety: F. M. Ogórek-Pankowa, S. Moraczewska, M. Lateiner i M. Kalmus-Schneiderowa. Przed I wojną światową w informatorze o Lwowie podano 16 nazwisk kobiet-lekarek, które prowadziły prywatną praktykę lekarską, co stanowiło 3,5% z 445 wszystkich lekarzy we Lwowie. W owych czasach był to bez wątpienia sukces, bowiem dotąd „lekarski fach” tradycyjnie uważany był za zawód męski. Członkiniami TLL w 1913 r. było tylko 8 kobiet, co stanowiło 2,9% z liczby 276 ogólnej liczby członków Towarzystwa. Warto wymienić ich nazwiska: Wanda Chowańcówna, Fryderyka Heschelesówna, Maria Pogonowska, Franciszka Fuchsówna, Zofia Linkówna, Zofia Starklówna-Węgrzynowska, Zofia Silberstein-Diamandowa, Helena Schusterówna.

W 1927 r. do Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego należało 31 – 12,4%, a w 1937 r. – 28 lekarek, co stanowiło 12,4% ogółu członków. Wbrew oporowi konserwatywnej części intelektualnej elity lwowskiej (i nie tylko lwowskiej) kobiety zaczęły otrzymywać wykształcenie medyczne, z powodzeniem pracowały na państwowych posadach, włączały się do lekarskich towarzystw. Młode, ambitne, aktywne i mądre starały się wkraczać w lekarskie wspólnoty, uczestniczyły w posiedzeniach naukowych, przygotowywały referaty, publikowały prace naukowe. A jednak tylko w latach 1919 i 1920 po raz pierwszy wybrano do Zarządu TLL kobietę-lekarkę – Helenę Schusterówną, która wówczas otrzymała funkcję sekretarza.

W Towarzystwie istniała coroczna praktyka nadawania statusu członka honorowego lekarzom, którzy wyróżniali się działalnością społeczną oraz wnieśli znaczący wkład w rozwój medycyny krajowej i światowej. Byli nimi: dr Heliodor Świącicki z Poznania, dr Leon Szuman z Torunia, prof. Ignacy Baranowski z Warszawy, prof. Julian Kosiński z Warsza-

wy, dr Władysław Biegański z Częstochowy, prof. Tadeusz Borowicz z Krakowa, dr August Kwaśnicki z Krakowa, prof. Zygmunt Laskowski z Genewy, Maria Skłodowska-Curie z Paryża, dr Edward Fastenberg ze Lwowa i dr Józef Merunowicz ze Lwowa.

Początkowo posiedzenia Towarzystwa odbywały się raz w miesiącu, ale od 1874 r., na propozycję Oskara Widmanna, zaczęto organizować je dwa razy w miesiącu. Do 1897 roku łącznie corocznie było ich 28 – 30 – 36. Ze względu na to, że po otwarciu Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego do Towarzystwa dołączyło wielu naukowców i znacznie wzrosła liczba prelegentów, chętnych do wygłaszania odczytów, w latach 1906–1907 spotkania zaczęły odbywać się cotygodniowo (najwięcej, bo 60 posiedzeń, odbyło się w 1901 roku). Należało zatem dążyć do utworzenia osobnych sekcji specjalistycznych. Od dawna już działały sekcje przemysłowo-lekarska i higieniczna. W 1908 r. powstała sekcja balneologiczna, a w 1911 r. – neurologiczno-psychiatryczna.

Towarzystwo przez długi czas nie posiadało własnego lokalu, dlatego na przestrzeni lat wynajmowało różne sale. Na początku była to Mała Sala Radna w Ratuszu, od 1891 r. posiedzenia odbywały się przy ul. Blacharskiej 18 (teraz ul. Iwana Fedorowa 18), w latach 1898–1910 – przy ul. Dominikańskiej 11, w budynku towarzystwa Lekarzy Galicyjskich. Z wielkim ubolewaniem przyjęto, dokonaną w 1910 r., sprzedaż domu TLG, gdzie w pięknie urządzonej sali przez 12 lat odbywały się posiedzenia naukowe. W związku z tym powstał projekt budowy własnego domu, niestety niezrealizowany przez długie lata. Od 1910 r. Towarzystwo, z krótkimi odstępami czasu, funkcjonowało w różnych miejscach. W latach 1912–1937 posiedzenia Towarzystwa odbywały się w salach Polikliniki Powszechnej, przy ul. Lindego 5. W 1920 r. otwarto tu czytelnię dla potrzeb lekarzy, a w 1925 – bibliotekę.

Rozpatrywano pomysł budowy własnego domu dla Towarzystwa. W tym celu w 1911 r. zakupiono działkę przy ul. Zyblikiewicza 6, jednakże wskutek wybuchu wojny, ze zrozumiałych względów stało się to niemożliwe. Do sprawy budowy domu powrócono w 1934 r., w którym sprzedano parcelę przy ul. Zyblikiewicza i zakupiono działkę ziemi

przy ul. Konopnickiej 3. Planowano, że wybudowany dom zasiedlą: Lwowskie Towarzystwo Lekarskie, Izba Lekarska, Towarzystwo Lekarzy Polskich, Kasa Lekarska i in. Na budowę domu przekazano środki w wysokości 40 tysięcy złotych ze sprzedaży działki, planowano wykorzystanie funduszy ze składek członkowskich wszystkich organizacji i związków, jak również datki od indywidualnych darczyńców. Na początku listopada 1935 r. położono pod budowę kamień węgielny, a 24 listopada – uroczyste wmurowano akt budowy. Budynek wykonano według projektu inżynierów-architektów – Tadeusza Wróbla i Leopolda Karasińskiego, którzy także budowę zakończoną w 1936 r. nadzorowali. Fronton ozdobiono aforyzmem Hipokratesa, które świadczyły o przynależności budynku do fachu lekarskiego. Po zakończeniu wszystkich prac we wnętrzu, w holu Domu Lekarskiego na alabastrowej ścianie umieszczono następujący pamiątkowy napis: „Stanowi lekarskiemu na pomyślność. Nauce Polskiej na chwałę. Społeczeństwu na pożytek. Dom ten wzniesiony za czasów naszego urzędowania, a roku pańskiego tysięcznego dziewięćsetnego trzydziestego szóstego do użytku oddany został.”

Prezesem Towarzystwa Lekarzy Polskich we Lwowie był Roman Rencki.

Prezesem Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego był Antoni Sabatowski.

Prezesem Okręgu Lwowskiego Związku Lekarzy Państwa Polskiego – Lesław Węgrzynowski.

Do Zarządu Okręgowej Izby Lekarskiej należeli: Witold Nowicki – prezes, Emanuel Damański – wiceprezes, Tadeusz Falkiewicz – wiceprezes, Edward Elster – sekretarz, Tadeusz Marciniak – skarbnik oraz członkowie: Tytus Buraczyński, Stanisław Chmura, Jan Kochaj, Andrzej Pohorecki.

Obecnie w Domu Lekarskim znajduje się Obwodowy Departament Ochrony Zdrowia.

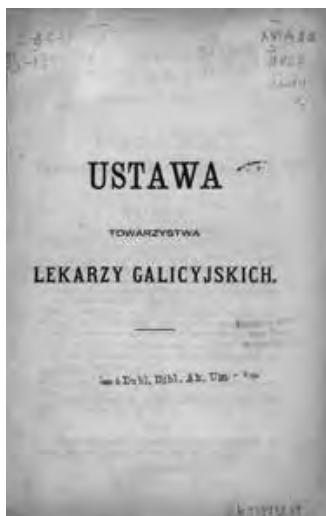
DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA TOWARZYSTWA

Działalność naukowa była niewątpliwie najważniejszym zadaniem TLL. Odegrała ona wielką rolę w rozwoju nauk medycznych i wprowadzaniu nowoczesnych technologii do funkcjonowania wszystkich szpitali we Lwowie i prawdopodobnie w całej Galicji. Potencjał intelektualny i zawodowy ówczesnych

lekarzy był potężny. Mimo że we Lwowie przez długi czas nie było na Uniwersytecie Wydziału Lekarskiego, w szpitalach, przede wszystkim w Lwowskim Szpitalu Powszechnym, prowadzono działalność naukowo-badawczą i trwał proces wdrażania nowoczesnej metodyki dotyczącej diagnostyki i leczenia. Wszystkie te osiągnięcia w pierwszej kolejności referowano na posiedzeniach Towarzystwa, gdzie krytykowano za niepowodzenia, doradzano w potrzebach albo inicjowano start do kariery naukowej. Dzięki udziałowi w posiedzeniach naukowych Towarzystwa lekarze zdobywali nieocenione doświadczenie, mianowicie otrzymywali informację o wprowadzonych nowych metodach diagnostyki, leczenia, wykonywania zabiegów operacyjnych. Równocześnie podczas spotkań analizowano interesujące czy skomplikowane przypadki kliniczne. Naukowe dyskusje obejmowały wszystkie strony praktyki lekarskiej. Najciekawsze odczyty i doniesienia rekomendowano do publikacji w polskich i zagranicznych czasopismach medycznych.

Działalność naukowa Towarzystwa nabrała rozpędu wraz z otwarciem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego. Udział w posiedzeniach umożliwiał znanym autorytetom naukowym przedstawienie swoich osiągnięć, a młodym zrobienie pierwszych kroków w zawodzie lekarza. Druga połowa XIX wieku to okres dynamicznych przemian w naukach przyrodniczych, charakteryzująca się dominacją fizykalizmu, także w dziedzinie wiedzy i praktyki medycznej. Techniki fizykalne rozwijały się również wśród lekarzy lwowskich. Jednym z lekarzy opowiadającym się za podejściem fizjatrycznym w medycynie był prof. Józef Dietl (1804–1878), który wniósł wielki wkład w proces rozwoju medycyny opartej o fizykalne metody leczenia, w tym polskiej balneoklimatologii.

Ze względu na specyfikę klimatyczno-hydrogeologiczną, Lwów stał się dla lekarzy dogodnym miejscem do rozwijania, stosowanych w leczeniu gruźlicy i innych chorób, rozpowszechnionych w owych czasach, metod hydropatyczno-klimatycznych i dietetyczno-gimnastycznych. Zdrojownictwo stało się nie tylko nową metodą leczenia, ale i istotną dziedziną usług przynoszącą pewne dochody. Leczenie zdrojowo-klimatyczne,



Strona tytułowa Ustawy Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich z 1867 r.

jako model nowoczesnej medycyny w dobie ogólnego postępu, zasługiwało na szczególną uwagę i wsparcie ze strony nauki uniwersyteckiej. Jeden z pierwszych we Lwowie zakład kąpielowy, zajmujący się działalnością leczniczą, profilaktyczno-zdrowotną i badawczą, znajdował się w pensjonacie „Kiselka”. W 1870 r. doktor Edward Madeyski uruchomił we Lwowie Zakład

Gimnastyczno-Ortopedyczny z działem masażu i pensjonatem dla chorych. W wydanej przez siebie książce „Gimnastyka racjonalna” pisał: „Życie jest ruchem, ustawianie ruchu – początkiem śmierci”. Kontynuatorem jego dokonań był Wenanty Piasecki. Po uzyskaniu doktoratu z medycyny na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1870 r., W. Piasecki rozwinął we Lwowie działalność lekarską, pedagogiczną, społeczną i naukową. Jako pierwszy specjalista w Polsce wykładał teorię wychowania fizycznego dla studentów Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu we Lwowie (1873–81). W 1871 r. W. Piasecki rozpoczął pracę jako lekarz i kierownik Zakładu Zdrojowego „Kiselka”, który po przebudowie i powiększeniu o kolejne zabudowania przy ul. Kąpielnej stał się znaną miejską lecznicą sanatoryjną. Od 1873 r. hydroterapią praktyczną i licznymi publikacjami teoretycznymi na temat wodolecznictwa i dietoterapii wstąpił się dr Władysław Jasiński, ukończył Wydział Lekarski w 1855 r. we Wiedniu, a od 1860 r. pracował jako asystent w jednej z lwowskich klinik. Dr Jasiński traktował leczenie uzdrowiskowe jako jeden z czynników leczniczych wpływających na stan zdrowia chorego, zresztą wprowadził termin leczenie fizjatryczne. Należy wspomnieć, że w Komisji Balneologicznej przy Towarzystwie Naukowym Krakowskim dominowali lekarze lwowscy – prof.

A. Biesiadecki, prof. L. Radziszewski, dr K. Dębicki. W roku 1911 powołano Sekcję Balneolekarską Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego, skupiającą lekarzy praktykujących w zdrojowiskach galicyjskich.

Najważniejsze osiągnięcia naukowe członków TLL omówiono w artykule, który stał się podstawą niniejszego opracowania¹.

Członkowie Towarzystwa stawiali sobie ambitne cele. Pragnęli poznać nie tylko medycynę praktyczną, ale także w swojej pracy opierać się na znajomości postępu nauk lekarskich i przyrodniczych. Dlatego na przestrzeni lat rozwinęła się tradycja zapraszania na posiedzenia Towarzystwa Lekarzy Lwowskich nie tylko znanych przyrodznawców, ale także psychologów, inżynierów i filozofów. Taka praktyka rozpoczęła się jeszcze w 1882 roku z inicjatywy prezesującego wówczas Józefa Różańskiego, który uważał, że lekarz powinien być specjalistą nie tylko w swoim zawodzie, ale także powinien interesować się osiągnięciami nauk przyrodniczych.

Jedną z osób zapraszanych na odczyty był Julian Ochorowicz (1850–1917), docent katedry Fizjologii i Psychologii Uniwersytetu Lwowskiego, autor monografii „Psychologia i medycyna”. W kręgu jego zainteresowań naukowych znajdowały się parapsychologia, hipnoza i elektryczne właściwości ludzkiego ciała. W 1878 r. opublikował pracę „O możliwości konstrukcji przyrządu do przesyłania obrazów na wielką odległość”, dzięki czemu uważany jest za twórcę monochromnej telewizji. Przetwarzanie sygnałów świetlnych na elektryczne, a następnie przesyłanie ich bez naruszenia struktury i powrotne przetworzenie na świetlne sygnały stało się bazą stworzenia telewizji (według niektórych źródeł – 1877 r.)

Należy podkreślić, że w ramach naukowej działalności, już od pierwszych miesięcy istnienia TLG, zapoczątkowano działania zmierzające do założenia biblioteki naukowej dla lekarzy. Na początku mieściła się ona w Ratuszu w Małej Sali, gdzie odbywały się posiedzenia. W 1871 r. bibliotekę przeniesiono do Szpitala Powszechnego. Zbiory stale uzupełniano np. poprzez dary od lekarzy, wydanymi na ich koszt książkami i broszurami, a także publikacjami przywiezionymi z naukowych podróży. Z czasem biblioteka rozrosła się tak, że liczyła tysiące tomów. Podczas I wojny światowej bibliote-

ka była przechowywana w pomieszczeniach Biblioteki Uniwersyteckiej. W latach 20., gdy Towarzystwo założyło w Poliklinice Ogólnej czytelnię, na zbiory biblioteczne wydzielono dwa pokoje. Następnie w Domu Lekarskim przy ul. Konopnickiej 3 zaprojektowano pomieszczenia na użytek biblioteki.

Godny zauważenia jest fakt aktywnego i owocnego udziału TLL w organizacji zjazdów lekarzy i przyrodników, które odbyły się we Lwowie w latach 1875, 1888, 1894, 1897, 1907 i w 1937 r., a także zjazdów polskich internistów. Szczególnie pamiętnym był pierwszy zjazd we Lwowie w 1875 r., który wszedł do historii z uwagi na problematykę referatów i dyskusji zdominowanych przez sprawy społeczno-zdrowotne. Inicjatorem zorganizowania zjazdu i jego przewodniczącym był August Noskiewicz.

DZIAŁALNOŚĆ ORGANIZACYJNA I ADMINISTRACYJNA

Od pierwszych lat istnienia Towarzystwa jego członkowie aktywnie działali na rzecz społeczeństwa i chociaż TLL było organizacją społeczną, bardzo ściśle współpracowało z Krajową Radą Zdrowia (KRZ). Ta współpraca była na tyle ważna, że bez wniosków Towarzystwa nie przyjmowano praktycznie żadnej uchwały.

Działalność społeczno-administracyjna była organizowana bardzo rozważnie i systematycznie. Tworzono komisje, w skład których wchodziłi różni specjaliści. W zależności od problematyki, komisja pracowała od 1 do 6 miesięcy. Na posiedzeniach Towarzystwa przedstawiano wyniki opracowań i dopiero po przedyskutowaniu, zredagowaniu, wnioski przekazywano do KRZ. Praktycznie wszystkie uchwały KRZ były podejmowane na podstawie opinii TLL. W pewnym sensie był to początek kształtowania się samorządu w środowisku medycznym Lwowa.

Działalność społeczno-organizacyjna TLL dotyczyła najrozmaitszych dziedzin życia miasta. W pierwszym rzędzie zajęto się zagadnieniem sanitarnego zabezpieczenia Lwowa i na podstawie poczynionych wniosków, przedstawiono do rozpatrzenia KRZ i Sejmowi Galicyjskiego wiele służbowych raportów i zakazów. Należało przede wszystkim zająć się uporządkowaniem Lwowa pod względem sanitarnym, a w tym zbadaniem szkodliwych wpływów

rzeki Pełtwi na zdrowie ludności. Zły stan sanitarny Lwowa zmusił TLL do rozpoczęcia pertraktacji o konieczności utworzenia osobnej komisji sanitarnej dla Lwowa i całkowitej reorganizacji służby zdrowia miasta. Od 1872 do 1874 r. rozpatrywano kwestię utworzenia we Lwowie służby dezynfekcji i na ten temat przygotowano raport do Rady Miejskiej. W celu wzmocnienia sanitarnej ochrony mieszkańców w 1880 r. utworzono komisję do zbadania konieczności utworzenia we Lwowie centrali mleczarskiej.

W czasie epidemii cholery i konieczności zorganizowania służby dotyczącej opieki nad chorymi, została stworzona komisja przeciw cholercie, która przez wydanie specjalnej instrukcji ustaliła obowiązki lekarzy, reguły grzebania zmarłych, budowania baraków dla chorych. Ludność informowano o środkach i sposobach dezynfekcji.

W 1873 r. TLG nawoływało mieszkańców Lwowa i okolic do szczepień przeciwko ospie, a już w 1879 r. została przyjęta uchwała o obowiązkowym szczepieniu przeciw tej chorobie. Członkowie TLL intensywnie pracowali nad ustaleniem zasad funkcjonowania szpitali. Dotyczyło to zmian w Krajowym Szpitalu Powszechnym (KSP), który w owym czasie był jedynym państwowym szpitalem we Lwowie i posiadał stosunkowo wysoki poziom w zakresie udzielania pomocy medycznej. To właśnie zespół lekarzy tego szpitala na przestrzeni wielu lat stworzył kreatywne i organizacyjne jądro TLG. Dzięki wprowadzonym zmianom organizacyjnym zwiększono liczbę oddziałów i stanowisk lekarskich, podwyższono pensje dla lekarzy i obsługi, a przede wszystkim opracowano statut szpitala i instrukcje służbowe, według których uregulowano opiekę lekarską nad chorymi i zastosowano odpowiednie normy ich żywienia. W grudniu 1870 r. do współpracy pracy w KSP zaproszono Siostry Miłosierdzia. Następnym wielkim osiągnięciem TLL było opracowanie zasad działalności i organizacja służby lekarzy gminnych i powiatowych. W dalszej perspektywie sprawiło to stworzenie w Galicji posad lekarzy powiatowych. W latach 1889–1890 została zakończona praca nad projektem statutu lekarzy gminnych, która trwała od 1875 roku.

Wśród innych organizacyjnych działań i osiągnięć Towarzystwa należy wymienić

udział w akcjach walki z gruźlicą (1917), a także w akcjach zapobiegania grypie (1918), chorobom wenerycznym (1918) oraz epidemii chorób zakaźnych (1918). Towarzystwo Lekarskie Lwowskie odegrało ogromną rolę w otwarciu w 1891 roku, po prawie 20 latach jego tytanicznych starań, Wydziału Lekarskiego na Uniwersytecie Lwowskim i w powstaniu pierwszych klinik uniwersyteckich. Pracę naukową podejmowało we Lwowie coraz więcej lekarzy zainteresowanych wdrażaniem najnowszych osiągnięć nauki w leczeniu chorych. Znacznie wzrosła liczba członków Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego. Znani w Europie renomowani specjaliści chętnie przyjmowali posady w Uniwersytecie Lwowskim. Stopniowo we Lwowie wznoszono nowe budynki klinik, wyposażone w nowoczesne pracownie.

Liderzy TLL położyli wielkie zasługi w przygotowaniu ustawy dla polskich izb lekarskich. Z organizacją Izby Lekarskiej były bezpośrednio związane sprawy uregulowania stosunków Szpitala Powszechnego i lwowskiej społeczności oraz usankcjonowania wzajemnych stosunków lekarzy i mieszkańców. Dzięki temu we Lwowie, jako jedna z pierwszych w Polsce, w 1893 roku została założona Lwowska Izba Lekarska, zwana poprzednio Wschodnio-Galicyską, której statut, doświadczenia organizacyjne i rozmach działalności stworzyły wzorzec dla wszystkich ziem polskich. Jednym z autorów projektu statutu izb lekarskich, walczącym o stworzenie zawodowej reprezentacji stanu lekarskiego, był J. Różański – pierwszy prezydent Lwowskiej Izby Lekarskiej. Spod jego pióra wyszły liczne analityczne sprawozdania i referaty o społecznym zdrowiu i wielu innych zagadnieniach.

Wśród osób zaangażowanych w takie działania należy wymienić profesora A. Czyżewicza, który jako członek, a z czasem i prezes Krajowej Rady Zdrowia brał bezpośredni udział nie tylko w wyjaśnianiu problemów, ale i podejmowaniu decyzji urzędowych. Dzięki jego talentowi jako organizatora szpitalnictwa i osobistym inwestycjom została zrealizowana budowa oddziału położniczo-ginekologicznego, który funkcjonuje do dnia dzisiejszego. Był jednym z inicjatorów utworzenia służby zdrowia w gminach i wykonawcą projektu statutu lekarzy gminnych.

Od początku swojej działalności TL ogromną uwagę zwracało na problemy etyczne zawodu lekarskiego. Środowisko lekarskie Lwowa wysunęło się na czoło w zakresie chronologii powstawania zbioru norm i zasad funkcjonowania zawodu lekarskiego. Pierwszy polski kodeks deontologii lekarskiej lekarzy galicyjskich powstał w 1876 roku i nosił tytuł „Uchwały Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich w przedmiocie obowiązków lekarzy względem swych kolegów i zawodu lekarskiego w ogóle.” Towarzystwo chroniło interesy lekarzy w różnych sytuacjach, szczególnie konfliktowych. W tym celu w 1876 r. powołano Komisję Zgody.

W 1889 r. w Austrio-Węgrzech była przyjęta uchwała o stworzeniu Kas Chorych. TLG od razu włączyło się do wyjaśnienia ustaw statutu Kas, ponieważ w znacznym stopniu pogarszały one sytuację lekarzy i naruszały ich prawa. Dlatego na ogólnym zebraniu Towarzystwa przyjęto odezwę, w której ustalono jego pozycję i udzielono lekarzom porad dotyczących ochrony ich praw przy zawieraniu umów z kasami chorych. Ważnym elementem działalności Towarzystwa od pierwszych lat jego istnienia było przestrzeganie używania języka polskiego w dokumentach medycznych. TLG także wymagało, ażeby językiem wykładowym na uczelniach był język polski. Równocześnie rozmachu nabrała akcja popierania polskich naukowców przy powołaaniach na ważne stanowiska.

W kolejnych latach TLG posiadało różne wydawnictwa własne. Wśród pierwszych należy wymienić „Rocznik Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich”, który był wydawany w latach 1868–1869, a także „Dwutygodnik medycyny publicznej” – 1877–1879, od 1880 r. wydawany jako „Dwutygodnik medycyny publicznej i praktycznej”. Przez długi okres organem Towarzystwa był „Przegląd Lekarski”, wydawany od 1873 r. wspólnie z Krakowskim Towarzystwem Lekarskim. Następnym bardzo ważnym krokiem w tej dziedzinie było założenie w 1906 r. własnego czasopiisma TLL „Lwowski Tygodnik Lekarski”, który ukazywał się do 1913 r.

Po przyłączeniu w 1908 r. Krakowskiego Towarzystwa do Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich „Przegląd Lekarski” i „Lwowski Tygodnik Lekarski” udostępniono wszystkim członkom. Po I wojnie światowej nie przywrócono „Lwowskiego Tygodnika Lekarskiego”,

Szpital Powszechny we Lwowie na fotografii Adama Lenkiewicza z 1939 r. Źródło: Biblioteka Narodowa. Sygnatura Pocz. 3041.

a już od 1922 r. ukazywała się „Polska Gazeta Lekarska”.

DZIAŁALNOŚĆ CHARYTATYWNA

Jednym ze statutowych zadań, wyznaczonych przy założeniu TLG, była materialna pomoc dla wdów i sierot z rodzin lekarzy, a także dla lekarzy niezdolnych do pracy lub w podeszłym wieku. Bezspornie ten kierunek działalności na przestrzeni wszystkich lat istnienia był i na zawsze pozostanie jedną z najpiękniejszych stronikroniki Towarzystwa.

Działalność charytatywną prowadzono w ramach założonego funduszu. Przez pewien czas na ten cel przeznaczano niewielką sumę pochodzącą ze składek członkowskich lekarzy, planowano również uzupełnianie funduszu za pomocą datków składanych przez kolegów. Początkowo pomoc charytatywna udzielana była w postaci jednorazowej wypłaty, a od 1874 r. wprowadzono stałe pensje. W dalszym okresie wpływy pieniężne zostały zróżnicowane, a wypłaty podzielone na jednorazową pomoc materialną, pensje dla wdów i osobno pensje dla sierot. Warto zaznaczyć, że do 1939 r. zbiórki ofiar na materialną pomoc dla wdów i sierot, i niezdolnych do pracy kolegów lekarzy przeprowadzano regularnie. Corocznie na święta Bożego Narodzenia urządzało charytatywne bale lekarskie, z których dochody uzupełniały fundusz. Stworzenie imiennych fundacji umożliwiło otrzymanie większych sum pieniężnych, a tym samym możliwość rozszerzenia zasięgu pomocy. Jednym z pierwszych fundatorów był Alfred Biesiadecki, który w 1888 roku ofiarował 6 tysięcy złotych ryńskich, stając się w ten sposób pozytywnym przykładem dla wielu następnym ofiarodawców. W 1887 r. Piotr Krzeczunowicz (1819–1887) przekazał 4 tysiące złotych ryńskich. Wysoką kwotę – 263 tys. koron na korzyść funduszu wspierania wdów i sierot zapisał TLG w testamentcie lwowski lekarz Władysław Jasiński. Ta kwota przeszła do Towarzystwa po jego śmierci w 1903 r. Rodzina profesora Adama Czyżewicza – starszego, w 1912 r. założyła imienną fundację z budżetem statutowym w wysokości 25



tys. koron. Grzegorz Ziembicki w 1933 r. z okazji jubileuszu swojej 30-letniej działalności w Lwowskim Szpitalu Powszechnym ofiarował 1000 koron. Ogółem były założone fundacje I. Krówczyńskiego (1893), J. Merunowicza (1898), W. Ściborowskiego (1903), A. Marsa (1904) i wielu innych, od których fundusze szły na cele dobroczynne, wspieranie niezamożnych studentów poprzez zakładanie szkoleniowych stypendialnych fundacji i in. Na wymienienie zasługują także nazwiska innych darczyńców, m.in. Franciszka Niedźwieckiego – 1884, Ludwiga Rydygiera – 1899. Członkowie Towarzystwa omawiali kwestię utworzenia kas dla chorych pracowników. Na przestrzeni wielu lat lekarze Szpitala Powszechnego i klinik bezpłatnie badali i udzielali pomocy bezrobotnym, o czym niejednokrotnie informowano w prasie.

Największym jednak darem ofiarowanym Towarzystwu były majątki Morszyna: rola, lasy, źródła mineralne, kopalnie soli, które zapisali w 1881 roku darczyńcy, właściciele ziemscy Bonifacy i Magdalena Stiller, pod warunkiem utworzenia zakładu sanatoryjnego. Pozyskane dochody powinny być wspierać fundusz dla wdów i sierot. Niestety, Towarzystwo Lekarzy Galicyjskich przez długi czas nieefektywnie wykorzystywało otrzymany dar, ponieważ bardzo długo załatwiała nabycie prawa własności, a ponadto przeciągało się załatwienie naukowego zbadania właściwości leczniczych wód, co hamowało rozwój Morszyna. W związku z powyższym nie tylko folwark morszynski (prawie 180 morgów roli wraz z gospodarskimi zabudowaniami i 300 morgów lasu), ale i zakład zdrojowiskowy, jak również prawo na produkowanie gorzkiej soli, pozostawały w arendzie u różnych przedsiębior-

ców. Dzierżawcami często byli handlarze, którzy w rabunkowy sposób powyrąbawali i rozprzedali najlepsze działki lasu. Przed I wojną światową uzdrowisko rozwijało się powoli. W latach 1921–1931 Towarzystwo Lekarskie znowu oddało Morszyn w dzierżawę warszawskiej kompanii akcyjnej. Niezależnie od ilości soli morszynskiej eksportowano do USA i Anglii. Dopiero w 1932 r. TLL zaczęło samodzielnie zarządzać kurortem. W 1935 r. rozpoczęto budowanie pensjonatu „Dom uzdrowiskowy” (obecnie sanatorium „Marmurowy Pałac”). Budowa kosztowała 4 mln złotych i trwała ponad trzy lata. W lipcu 1938 r. „Dom Uzdrowiskowy” oddano do eksploatacji. Stopniowo Morszyn stawał się coraz bardziej znanym uzdrowiskiem. Jeżeli w pierwszych latach w kurorcie pracował jeden czy dwoje lekarzy, to już w następnych na letni sezon przyjeżdżało ich po kilku. W 1939 roku w Morszynie wypoczywało ponad 6 tys. kuracjuszy, w tym także cudzoziemcy.

Fundusz pomocy wdowom i sierotom po zmarłych lekarzach funkcjonował aż do drugiej wojny światowej. Informacja o wykorzystaniu funduszy, nadaniu pensji czy stypendiów była dostępna szerokiemu ogółowi, co sprzyjało przejrzystości działalności Towarzystwa.

Należy zauważyć, że z czasem odsetek lekarzy lwowskich wśród wszystkich członków Towarzystwa stopniowo malał. Tak, w 1867 r. część lekarzy zamieszkałych we Lwowie, należących do Towarzystwa, stanowiła 82,5%, w 1877 r. – 82%, w 1887 r. – 87,7%, w 1897 r. – 71%, w 1907 r. – 67%, w 1914 r. – 62%, a już w 1927 r. – 38,2%, w 1938 r. – 28%. Fakt znacznie mniejszego udziału lwowskich lekarzy w Towarzystwie w ostatnich latach był związany z jednej strony z sytuacją polityczną w kraju, a z drugiej – utworzeniem we Lwowie wielu innych towarzystw o charakterze specjalistycznym, które zadowalały zawodowe potrzeby lekarzy i podwyższały ich specjalistyczne kwalifikacje. Z czasem we Lwowie, oprócz Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich i wyłonionego z niego Towarzystwa Lekarzy Lwowskich, w różnych latach prowadziły działalność niżej wymienione zrzeszenia lekarskie:

1. Lwowskie Towarzystwo Ratunkowe – założone w 1893 roku. Pierwszym jego kierownikiem mianowano E. Strojnow-

skiego, który zainicjował stworzenie Towarzystwa Ratunkowego i organizował pracę Stacji. Personel Stacji składał się z lekarzy i sanitarnej służby. Przez 15 lat działalności Stacji Ratunkowej przyjęto 57,5 wezwań o udzielenie nagłej pomocy, a już w 1913 r. (po 20 latach funkcjonowania) zarejestrowanych wezwań było ponad 100 tysięcy.

2. Lwowskie Towarzystwo Higieniczne – w 1923 r. jego nazwa została zmieniona na Polskie Higieniczne Towarzystwo we Lwowie.
3. Towarzystwo Ginekologiczne – założone w 1898 r. Oprócz posiedzeń naukowych, które odbywały się w miarę napływania naukowego materiału, Towarzystwo zajmowało się kwestiami społecznymi i etycznymi. W 1925 r. na ogólnym zebraniu Towarzystwa Ginekologicznego przyjęto uchwałę, że prawo używania tytułu „specjalista położnik-ginekolog” będą mieli tylko lekarze, którzy uzyskali licencję od Izby Lekarskiej po odbyciu trzyletniej praktyki kliniczno-szpitalnej.
4. Towarzystwo Otolaryngologiczne – w ramach funkcjonowania TLL w 1908 r. utworzono sekcję laryngologiczną, która z czasem przekształciła się w Towarzystwo z własnym statutem i zarządem. W 1920 r. utworzono Polskie Towarzystwo Otolaryngologiczne.
5. Koło Naukowe Lekarzy Lwowskiego Szpitala Powszechnego – posiedzenie inauguracyjne odbyło się w czerwcu 1918 roku.
6. Naukowe Koło Szpitala Ubezpieczalni Społecznej – założone w 1931 roku.
7. Towarzystwo Walki z Gruźlicą, Koło Lwowskie – założone w 1904 r. z inicjatywy prof. Władysława Gluzińskiego (Lwów) i doktora Tomasza Janiszewskiego (Kraków). Głównym zadaniem Towarzystwa było informowanie i nauczanie o sposobach zapobiegania gruźlicy oraz leczenie chorych. Początkowo siedziba Towarzystwa znajdowała się w Krakowie, w 1918 r. przeniesiono ją do Lwowa.
8. Stowarzyszenie Przeciwrakowe Świętego Wawrzyńca – założone we Lwowie w 1929 r. z inicjatywy dyrektora LPSZ Andrzeja Pogoreckiego, starszego ordynatora II oddziału chorób wewnętrznych Witolda Ziembickiego, prof. Romana

Renckiego, lekarzy Kazimierza Wencowskiego, Mariana Osuchowskiego i in. Ze względu na znaczny wzrost zachorowalności i śmiertelności pacjentów wskutek chorób onkologicznych, idea stworzenia we Lwowie zakładu przeciwnowotworowego była omawiana jeszcze w 1919 r. Równocześnie wobec odkrycia radu i początków zastosowania go w medycynie, pojawiły się nowe możliwości pomocy chorym. Lwów był trzecim miastem w Polsce, w którym zapoczątkowano zorganizowane podejście do walki z rakiem.

9. Ukraińskie Towarzystwo Lekarskie – założone 1 października 1910 roku. Pierwszym prezesem UTL obrano Jewgena Ozarkiewycza. W 2010 r. we Lwowie bardzo uroczysto obchodzono Jubileusz 100-lecia Ukraińskiego Towarzystwa Lekarskiego.
10. Towarzystwo Szerzenia Higieny wśród Żydów – założone w 1919 r. przez lekarzy M. Zeltzera, Gustawa Bikelesa, Karola Schneidera i Marka Reichensteina.
11. Związek Lekarzy Dentystów.
12. Związek Lekarzy Rządowych we Lwowie.
13. Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk.

POSŁOWIE

Nawet krótki przegląd historii TLG i TLL pokazuje zachwycający proces organizacji i rozwoju medycyny w drugiej połowie XIX i pierwszej połowie XX wieku, a równocześnie dostrzec można nieprzeciętnych lekarzy lwowskich szpitali i naukowców z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego. Dwie wojny światowe w krótkim czasie i związane z nimi tragedie niezaprzeczalnie miały negatywny wpływ tak na dalszy rozwój medycyny na obszarze lwowskim, jak i na wiarygodną wiedzę o historii lwowskiej medycyny. Już w 1939 r. całkowita zmiana władzy doprowadziła do zniszczenia wszystkich instytucji, towarzystw i zrzeszeń, które w swoim czasie tworzyły całokształt służby zdrowia Galicji i Lwowa.

Nieodwracalnej straty doznała naukowa społeczność Lwowa w 1941 roku. W nocy z 3 na 4 lipca niemieccy okupanci, bez sądu, stracili na Wzgórzach Wuleckich lwowskich uczonych, przeważnie profesorów Instytutu Medycznego i Politechniki Lwowskiej. Wśród wymienionych niżej 14 zamordowanych pro-

fesorów medycyny oraz członków ich rodzin ośmiu było w przeszłości prezesami Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego: Antoni Cieszyński (1882), Władysław Dobrzaniecki (1897), Jan Grek (1875), Jerzy Grzędzielski (1901), Henryk Hilarowicz (1890), Stanisław Mańczewski (1892), Witold Walerian Nowicki (1878), Tadeusz Ostrowski (1881), Stanisław Michał Progulski (1874), Roman Rencki (1867), Salomon-Stanisław Ruff (1872), Włodzimierz Jan Sieradzki (1870), Adam Jan Sołowij (1859), Tadeusz Boy-Żeleński (1874).

W pierwszych latach powojennej okupacji Polacy zmuszeni byli masowo opuszczać Lwów. Niektórzy ukraińscy lekarze również ratowali się ucieczką od sowieckiego terroru. W mieście nie pozostało wielu lekarzy-specjalistów. Z 16 urologów, którzy praktykowali we Lwowie przed wojną, pozostało tylko troje, ortopedów – 1, rentgenologów – 2. Trochę więcej pozostało internistów, położników-ginekologów i chirurgów.

W powojennych czasach wielu lekarzy – Polaków, Ukraińców czy Żydów również spotkał tragiczny los: zwolnienia z pracy, areszty, zesłania, rozstrzelanie. Totalitarny system zrobił wszystko, aby do nas i przyszłych pokoleń nie dotarła informacja o wysokim poziomie naukowej i praktycznej myśli istniejącej na naszych ziemiach, abyśmy nie pamiętali i nie wiedzieli o naszych poprzednikach, którzy wynieśli Lwów na przednie szczyty medycznej nauki nie tylko w Polsce, a w wielu dziedzinach w Europie i na świecie.

¹ Niniejszy tekst został zredagowany na podstawie artykułu doc. dr. n. med. Eweliny Hrycaj-Małańczyc pt. „Kilka słów o działalności Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego”, który ukaże się w monografii redakcyjnej „Szkice z historii Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego”.



Statut Towarzystwa Lekarzy Polskich we Lwowie. Źródło: Biblioteka Narodowa

Opracowała Anna Stengl

MELANCHOLIA I MUZY

Przyjechał do Lwowa po miłość i pieniądze.
Wyjechał niekochany, ubogi i... wielki.

OGIEŃ PAMIĘCI

Pewnej jesieni 1926 roku w skromnym mieszkaniu na drugim piętrze przy ulicy Batoro 7 we Lwowie, pośród niezliczonych szpargałów, pamiątkowych bibelotów i poślizniętych konterfektów zdarzyło się coś niezwykłego. Nobliwa dama, dobiegająca 85. roku życia, uniósłszy wzrok znad książki, zasępiła się, spłoszyła i drżącą ręką sięgnęła po paniński dzienniczek z roku 1868. Westchnąwszy rytualnie, wydarła zeń kilka kart i cisnęła zmięty papier do pieca. „I tak macie dość zamieszania w biografach poetów” – powiedziała. Świadkiem tego wydarzenia był popularny pisarz Stanisław Wasylewski, który przyniósł jej w podarunku głośny wtedy tom szkiców Ferdynanda Hoesicka „Miłość i miłości w życiu wielkich ludzi”.

Dama nazywała się Zofia Romanowiczówna, pochodziła z zacnego lwowskiego rodu, sama zaś była naonczas jedną z najsłynniejszych i zasłużonych kobiet w mieście. „Romantyczka bez teki. Ani pisała, ani grała, ani malowała. Tylko wionęła. Wionęła poetycznością. Zawsze wysoko, na najwyższy ton strojona. Chodziła po świecie niby wcielony ideał romantycznej panienki. Dziewczątko z orłem białym tak poetyczne i tak żądne ekstazy, że się go aż bali poeci!” – charakteryzował ją Wasylewski, opowiadając jak to w powstaniu styczniowym „łała kule, znoila się w szpitalach aż do końca. A potem chciała w łzę jedną się przemienić, by za cały naród płakać. Ślubowała sobie uroczystie nigdy nie zdjąć żałoby narodowej.” Trwała w tych ślubach niezłomnie, czcząc wielkie chwile historii, których świadkiem była w młodości, a które ubarwiały jej monotonię staropanieństwa.

Na kartkach sztambucha, które gwałtownie zmieniła tego popołudnia, niemal sześćdziesiąt lat wcześniej Adam Asnyk pozostawił wiele płomiennych wersów. Co sprawiło, że prawdziwy ogień strawił je dopiero teraz?



Zofia Romanowiczówna

Oto z opowieści Hoesicka przyniesionych przez Wasylewskiego wynikało, że w tym samym czasie identyczne słowa kierował do innej kobiety, podczas gdy Zofia latami wierzyła w swoje wyłączne prawo do tamtych poetyckich duserów. Właśnie ta, powiedzmy, ekonomia słowa, doprawdy zastanawiająca u poety, którego muzy szczodrze przecież obdarzały mnogością metafor, zdołała tak pospolicie wzburzyć dostojną nestorkę, dzielną działaczkę Ligi Kobiet, porucznika-weterana Wojska Polskiego, bohaterską damę Polonia Restituta.

SPISKOWIEC NA DOROBKU

Adam Asnyk przyjechał do Lwowa 21 września 1867 roku. Chciał tu osiąść na stałe. Kilka dni wcześniej rozpoczął trzydziesty rok życia i był, można rzec, na zakręcie losu. Miał za sobą maturę w Kaliszu, trochę studiów rolniczych, a później medycznych w Warszawie, nauki społeczne we Wrocławiu, potem w Paryżu i doktorat z filozofii w Heidelbergu. Jednak żadna z tych dzie-

dzin nie pochłaniała go, nie nadawała sensu najbliższej przyszłości. Więcej energii i wiary wkładała we wcześniejszą działalność spiskową, z powodu której trafił do warszawskiej cytadeli, a po uwolnieniu wyjechał z kraju, by wrócić na czas powstania styczniowego, po czym znów, w poczuciu klęski i beznadziei, emigrował do Niemiec, Holandii, Włoch i Szwajcarii.

Nie było jeszcze powodów, by uważać go za poetę *par excellence*. Wprawdzie juvenilne utwory pisywał już jako chłopiec, ale publikować zaczął dopiero po upadku powstania, do połowy 1865 roku ogłaszając kilka wierszy w lwowskim „Dzienniku Literackim”. Przez dwa lata milczał i dopiero 8 października 1867 roku opublikował niewielki utwór.

Pisanie wierszy w pewnym sensie należało wtedy do „dobrego tonu”. Chętnie chwytało za pióro i rymowano, by odpowiednio wzniośle wyrazić jakiś pogląd, zatem nieliczne publikacje Asnyka nie wyróżniały go na razie z tłumu wierszokletów. Kontakty z lwowską prasą literacką sprawiły jednak, że szukał przystani właśnie tu. Urodzony w dalekim Kaliszu, tu w Galicji wciąż czuł się wygnańcem, bowiem jako emigrant polityczny z cesarstwa rosyjskiego, zabiegający o obywatelstwo austriackie, musiał zachowywać wszelki umiar i ostrożność, jeśli chciał, by władze uznały go za element godny względnego zaufania.

Literackie ambicje nie były wówczas dla niego najważniejsze. Dotąd utrzymywany przez rodziców, nade wszystko chciał się usamodzielnić materialnie, pomnażając skromny kapitał powierzony mu przez ojca, a Lwów, świeżo podniesiony do rangi stolicy autonomii, stwarzał lepsze perspektywy niż Kraków zdegradowany do imperialnych peryferii.

W MROKU DUSZY

Mimo tak racjonalnych pobudek pierwsza jesień we Lwowie pograżyła go w melancholii. Zyskał kilku znajomych i przyjaciół, w tym najbliższych – Władysława Łozińskiego i Juliusza Starkła. Ten ostatni, wpływowy pisarz i publicysta, był jego żarliwym promotorem. Adam pisał i publikował coraz więcej, uchodził za estetę, eleganta, znawcę dobrej kuchni i wina, w czym pomagało mu europejskie obycie. Obracał się w kręgu „Dziennika Literackiego”, wydawanego właśnie przez Star-

kla, miał więc prostą drogę do każdego towarzysza, a jednak nie należał do najtęższych lwowskich, *nomen omen*, lwów salonowych.

„Był zadziwiająco skromny, hołdów nie lubił, o sobie nie mówił nigdy i bardzo rzadko zdradzał się z istotną treścią swej duszy. Subtelny, wytworny esteta, zrażał się łatwo najmniejszym brakiem w tym kierunku. Pesymistą był, ale nie skrajnym, i skłaniał się do ironii i szyderstwa, ale łagodnego, dalekiego od cynizmu”. Tak zapamiętała go Romanowiczówna, dodając kilka słów o mężczyźnie: „Postać wysoka, lekko pochylona, szczupła twarz blada, niepiękna, ale pełna wyrazu, tak ogromnie odrębna, niepodobna do żadnej innej. Bardzo miły, a rzadki uśmiech i zamysłone, w jakiejś głębie patrzące mądre i dobre oczy.”

W wieku gdy ówczesnemu mężczyźnie wypadało się ustatkować, Asnyk był wciąż samotny. Od najwcześniejszej młodości nie miał szczęścia do kobiet. Jako czternastolatek zakochał się w Walerii Nawrockiej, starszej o dwa lata, co wtedy stanowiło przepaść. Nie przeszkadzało to chłopcu w rymowaniu gorących wyznań, pannie zaś kusząco flirtować. Sielanka przerodziła się w młodzieńczy melodramat. Rodzice Asnyka czynili nawet plany na przyszłość, ale ojciec Walerii uznał Adama za gołowąsą i wydał córkę za swojego faworyta, dojrzałego i do tego zamożnego. Przyszły poeta, zaproszony na ceremonię, na widok ukochanej w ślubnej sukni dostał dreszczy, a po powrocie do domu groźnego krwotoku. Zdecydowano, że ze względu na marne zdrowie powinien spędzić życie na wsi i wysłano go do szkoły rolniczej. Ta kuriozalna terapia nie pomogła – Asnyk ani nie został rolnikiem, ani nie wyzwolił się z mitu pierwszej miłości, a obok kompleksów materialnych przetrwała w nim obsesja niewłaściwego wieku. W powracających lękach będzie to zbyt młody, to znów za stary. Walerię spotkał raz jeszcze, ponad ćwierć wieku od jej zamążpójścia. Choć nie rozpoznali się od razu, to w końcu rozmawiali długo i Asnyk, już doceniony i sławny, powtarzał z żywą goryczą, że „mrok, który ogarnął jego duszę” z chwilą odtrącenia, nie opuścił go nigdy.

TAJEMNICE SERCA

Czy dorosłe lata przyniosły mu jakieś miłosne zrywy? Nie wiadomo. Pisał wprawdzie, że:

wiele kwiatów egzotycznych
widział, pełnych piękności i woni.
Dużo heroin znał poetycznych,
niosących uśmiech, łzy i serca w dłoni,
cierpko te wyliczenia kwitując:

A przecież żaden z tych kwiatów roz-
licznych

I z tych postaci wzniosłych, eterycznych
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Cokolwiek przeżył na tułaczce, do Lwowa przyjechał jako kawaler do wzięcia. Wśród tutejszych panien, poznana na tańczącym wieczorze u Starkłów, Romanowiczówna była świetną partią dla byłego spiskowca i początkującego poety. Nie dość, że ze świetnego lwowskiego rodu, to skończyła 26 lat, a więc, jak mawiano we Lwowie, „biła jej godzina” i adorator starszy ledwie o cztery lata mógł się czuć „w sam raz”.

Wiosna czyniła wszakże swoją powinność – Asnyk bywał u Romanowiczów coraz częściej i w towarzystwie uważano, że uderza w konkury. Ona również to widziała, skoro 12 kwietnia 1868 roku zapisała w dzienniku: „on cierpiał przeze mnie. Zamarzył o szczęściu, a domyśliwszy się tajemnicy mego serca, natychmiast cofnął się i uciekł. Stało się, chociaż z pewną słodyczą i dumą myślę o tym, że ten człowiek mógł mnie być kochać.”

W owej „tajemnicy serca” pogrążyła się przyszłość obojga. Zofia, choć nie brakowało jej adoratorów, to sama, jak przystało na żarliwą romantyczkę, zakochiwała się zbyt młodo i nieszczęśliwie. Jako trzynastolatka darzyła uczuciem wybrańca, którego jej despotyczna matka odprawiła tłumacząc, że „za młody, za bogaty, zbyt marzący, a niepraktyczny”. Zwróciła się więc ku starszemu o 30 lat i ze wszech miar praktycznemu ziemianinowi. Ten nie wychylił się jednak poza salonowe konwenanse. Gdy swe niefortunne awanse czynił Asnyk, Zofia była platonicznie acz obsesyjnie zakochana w Bolesławie Lutostańskim, który jako powstaniec, więziony, zmuszony do emigracji, był dla niej legendarnym herosem, nieświadom, że jest miłosną fantazją.

Kobięcy los Zofii upłynął miał na obcowaniu z fantazjami, a jedną z największych stał się wkrótce zniechęcony domniemaną konkurencją Asnyk. Kilka miesięcy po odkryciu „tajemnicy jej serca” odnotowała

w dzienniku: „Powiedzieli mi, że »grymasna kiedyś takiego człowieka nie chciała«. Odpowiedziałam, że jemu się o mnie nie śniło. »O! Już niech pani da spokój, bo wiemy z pewnością, że z tą myślą bywał, a pani dała mu uczuć, że to daremne.«”

Wtedy było to już daremne także dla Asnyka.

MGLIŚCIE I LUBIEŹNIE

Może czuł, że do Zofii bardziej niż uczucie skłaniałby go środowiskowy konformizm? Wykształcona, nienagannie wychowana, bogobojna i „oddana sprawie” Romanowiczówna to niezastąpiona żona zarówno heroicznego bohatera, jak uspiętego spiskowca, a zarazem pogubionego w życiu wędrowca, estety i erudyty. Taki mariaż byłby, i owszem, naturalny towarzyszko, ale jakże daleki od namiętności. Tymczasem Asnyk trwał w rozognionym konflikcie z własną naturą. „W kobiecie cenię najwięcej przymioty temperamentu. Są one ważniejsze w codziennym obcowaniu od cnót charakteru...” – zwierzał się po wielu latach Lucynie Kotarbińskiej. Błąkał się w marzeniach pomiędzy kobietą „dla niego właściwą”, a „upragnioną”. W swojej poezji wciąż zgłębiał te sprzeczności, czyniąc to tym gorliwiej, czym głębsza ogarniała go samotność.

W lwowskiej samotni napisał wiersz „Publiczność i poeci”, uważany za głos w sporze romantyków z pozytywistami, ale jeśli zabawić się literacko, można w nim dojrzeć także różne wizje miłości. Oto bowiem gdy „publiczność” wyrzuca poetom „melancholię mglistą a lubieżną”, poeta przyznaje, że „miłość jest piękną bez wątplenia rzeczą, i ma w poezji stare jak świat prawa”, dorzucając pogląd, iż „trzeba, żeby miała twarz człowieczą. Śmieszna się staje, gdy ją okaleczą, i kiedy wyjdzie wybladła i krwawa. Co by na to Afrodyta rzekła”, widząc te „piekła”. Jako „stronnik” Afrodyty zapewnia, iż miłości przebranej w romantyczne szaty bogini „nie zrozumiałaby wcale”. Widząc jej piewców „w jakimś Orestowym szale, z spojrzeniem błędnym, pochmurnym i dzikim, na samobójców chwiejących się skale” nie pojęłaby, że właśnie „przemawiają miłości językiem”.

Można powiedzieć, że pod urokiem Afrodyty kształtował pogląd na kobietę, na pozór stanowcze i przemyślane, choć ich istota tkwiła w ekscytujących sprzecznościach. „Kobiet oddanych tak dalece sprawom spo-

łecznym, że aż to graniczy z zaniedbaniem spraw ich kobiecości, nie lubię”, powiedział dodając: „ale nie jest dla mnie kobietą pełną ta, która nie interesuje się wszystkim, co obchodzi jej społeczeństwo. Ta jest dopiero dla mnie prawdziwą kobietą, która cieszy się, lub cierpi razem z ogółem, i która odczuwa wszystkie szczęścia i nędze ludzkie.”

Asnykowski ideałem byłaby więc istota o wszelkich przymiotach Romanowiczówny, zarazem wyzwolona jak lwica paryskich buduarów, a wigor skrywająca słodkim uśmiechem nastoletniej trzpiotki. Ta misterna teoria, poręczna poetycko, już wkrótce miała runąć z hukiem w uczuciowej praktyce.

ROZKOSZNY SEN

Latem 1868 roku poeta pojechał do Szczawnicy. Zbliżył się tam z towarzystwem zebranych wokół pań Grudzińskich, bogatej ziemianki spod Rawy Mazowieckiej i jej 16-letniej córki Anieli. Obie panie – atrakcyjne, roześmiane, uradowane życiem – skupiały uwagę kuracjuszy, z młodym Henrykiem Sienkiewiczem na czele. Asnyk dołączył do tego grona tym chętniej, że spacerując odłąd służąc ramieniem młodszej z pań, syjąc *bon motami* i bawiąc ją opowiastkami z podróży. Szczawnickie wieczory były dalekie od pompatycznych uniesień. Panna Grudzińska przybywała z innego, dawno przezeń zapomnianego świata naiwnej bez troski. Asnyk rozpoznał w sobie znów owego czternastoletka zadurzonego w bujnej dzierlatce.

Kiedy wybrano się na wycieczkę łodzią po Dunajcu, napisał wiersz, w którym płynął „w krainę cudów, marzeń i mgły”, śniąc, że ona „ujmuje silniej braterską dłoń” i drży „w jego serca spojrzawszy toń”.

I w księżycowych blasku promieni,
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni
W pierwszej miłości rozkosznym śnie

– snuł sentymentalne wizje, konstatując jednak, że gdy łódź przybije „wreszcie do brzegu, rzucając miejsce czarownic scen, poznamy wkrótce, że to był sen.”

Odłąd co wieczór budził podziw młodziutkiej muzy. „Mam jeszcze w pamięci chwilę, w której Henryk Sienkiewicz swoim melodyjnym głosem czytał dźwięczne strofy »Podróży Dunajcem«. Byliśmy wszyscy

oczarowani: brzmiało to jak najpiękniejsza muzyka” – tak po latach przedstawi to Aniela.

KOMEDIA SALONU

Panie Grudzińskie miały w sobie wiele powabu, różniły się od świetnie znanych Asnykowi szacownych żałobnic, hałaśliwie okazując także to wszystko, co wkrótce zwać się będzie filisterstwem. Starsza z pań ceniła przy tym pieniądze jako najlepszą ozdobę mężczyzny, co Asnyka, pomnego pustki w swym portfelu, raniło do żywego. Z końcem lata, wśród gwaru pożegnań, oprócz „Dunajca” Adam wręczył Anieli „Wiersz karmelkowy”, „praktycznych” aluzji:

... trocha serca w kobiecie
Świetnej kariery na świecie
Nie może psuć.

Lecz dziś komedię salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

Oprócz tej „zabawki wierszem” ofiarował dziewczynie prawdziwy klejnot – utwór pod nieśmiertelnym tytułem „Gdybym był młodszy”, który dla nich okazał się prorocstwem, a dla kolejnych pokoleń miłosnym przebojem. Iluż to późniejszych amantów powtarzając te frazy mierzyło się uczuciowo z żywiołem młodości i żalem, że pozostaje im „pić jedynie wino” zamiast „najśłodszego nektaru jej spojrzeń”.

Upłynęło czternaście lat od chwili, kiedy „za młody” Adam składał chłopięce rymy dla Walerii. Teraz, dla Anieli, był już o czternaście „za stary, by mógł zażądać serca ofiary”. Mógł zatem „bawić się tylko piosnecką, pełen tęsknoty uciekać” i „z dała” opowiadać jak „śmieje się i pije wino, mieszane z łzami, i patrzy w swą przeszłość pokrytą mgłami. I pije wino.”

MIMOZA I BEFSZTYK

Jesienią 1868 roku wiersze napisane w Szczawnicy ukazały się drukiem. Asnyk okrzepł we Lwowie jako poeta. Publikował dużo i regularnie, niebawem miał się ukazać pierwszy tomik „Poezji”, o którym Kazimierz Wóycicki powiadał, że „pochwały jakie pozyskał, pchnęły Asnyka w szeroki

świat i zdobyły mu przodujące stanowisko wśród rzeszy ówczesnych poetów polskich.”

We Lwowie wiodło się poecie, ale czy mężczyźnie? Jesień i zimę spędził błądząc pamięcią po szczawnickich ścieżkach. Stronił od ludzi za cenę kąśliwych uwag w satyrycznym portrecie skreślonym przez Kazimierza Chłędowskiego pod tytułem „El-y. Poeta mimoza”. „Szuka czasem zielonej trawki i jasných oczek w górach” – ironizował autor nawiązując do historii z Aniela, co oznacza, iż rzecz się upubliczniła. „Befszytk źle gamirowany może w poecie wywołać oburzenie na brak zmysłu estetycznego w terażniejszym stuleciu. Słowem drażliwy, kapryśny jak kobieta, bardzo często w sarkastycznym nastroju” – dodawał Chłędowski, człowiek znaczący we Lwowie, a na pewno „wszystkowiedzący”.

Romanowiczówna zaś w czerwcu 1869 notowała rozdrażniona: „Był u nas Asnyk – młody, szyderski, dziwaczny, sprzeczny sam z sobą..., a jego pieśni, ach! Jakie cudne, z kwiatów, z rosy, z uśmiechu jutrzeńki przezroczyście i jasne jak poranne łyzy Nieba w maju. Zakochałam się w jego pieśniach, pragnęłam, żeby jasny poeta stanął obok mnie jako przyjaciel, brat... Ale on zrobił inaczej – naprzód zajął się, jak mówią ludzie, czego nie chciałam, a potem się odwrócił, czego także nie chciałam – a zresztą tak

inny jak ten, którego sobie wymarzyłam po pieśniach. »Requiescat in pace!« spoczywaj w pokoju, usnój już raz na zawsze myśli twoja młodzieńcza, gorąca...”

Wbrew mglistym pragnieniom Zofii „wymarzony po pieśniach” poeta nie był kimś innym niż mężczyzna imieniem Adam piszący te wiersze. Wiele wyjaśnia rzut oka na obraz, jaki Chłędowski skreślił po wizycie w domu Romanowiczów w czasie, gdy bywał tam również „szyderski Asnyk”: „Matka siedziała na kanapie jak bogini żałoby, w czarnej sukni, z wielkim krzyżem zawieszonym na piersiach. Jako broszka służył jej srebrny orzełek. Panna Romanowiczówna, z załzawionym spojrzeniem, dosłownie w ten sposób jak matka ubrana, robiła wrażenie dziewicy, która przysięgła nigdy się nie roześmiać, nigdy nie pocieszyć”. „Uciekałam – wyznał pamiętnikarz – bo młodość moja nie umiała się zasklepić w zastoju, w martwocie, ale pragnęła życia, różnaitości, barwy”.

WIĘCEJ NIŻ ZA WIELE

Czy przed tym samym uciekał Asnyk, któremu w słotnym Lwowie nieustannie towarzyszył inny obraz? „Warkocze miała wspaniałe, w pełnych wyrazu modrych oczach Kupido trzymał całym pękiem najeżone strzały, a cała główka o nadzwyczaj regularnych rysach, o ślicznie wykrojonych różanych ustach, o jasnej delikatnej cerze uderzała nie tylko urodą, ale wdziękiem i dystynkcją” – taki konterfekt Anieli Grudzińskiej, pióra Ferdynanda Hoesicka, to najlepsza ilustracja drążących poetę wspomnień.

Chcąc się wyzwolić z beznadziejnej udręki na kolejne wakacje wybrał inny modny kurort, Krynice. Wtedy powstał słynny sonet, który w połowie XX wieku za sprawą Czesława Niemena będzie międzypokoleniowym hymnem wielkiej, a niespełnionej miłości:

Jednego serca! tak mało, tak mało,
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Co by przy moim miłością zdrzało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi...
(...)

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Co by mi oczy zasloniły moje,
Bym zasnęła słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba;
Jednego serca! Tak mało mi trzeba,



Aniela Grudzińska

A jednak widzę, że żądam za wiele!

Poetycka terapia nie pomogła – w ostatnich chwilach lata pojechał do Szczawnicy żądać znacznie więcej niż za wiele.

Panie Grudzińskie szykowały się już do wyjazdu. Pełen obaw zaprosił na spacer ciotkę Anieli i jej pierwszej zdradził cel wizyty, a ta, uprzejmie acz bez namysłu, oświadczyła, że to „bajeczne awanse”. „Któż opisze zdziwienie mej ciotki, gdy Asnyk zwierzył się jej, że ma zamiar oświadczyć się o mnie” – mówiła Aniela po latach.

Lato miało i lada dzień, chcąc nie chcąc, trzeba było wrócić do Lwowa. Wobec takiego upokorzenia przyszłość zapowiadała się mrocznie. Mimo to 26 października 1869 Asnyk napisał list, w którym cokolwiek nerwowo i arogancko zaznaczał, że choć zaskakuje adresatkę, to „zdziwienie to nie będzie przykrem” dla niego. „A to z tej prostej przyczyny – wyjaśnił – że go ani widzieć, ani roztrząsać nie będę. Tym sposobem mam nawet zapewnioną niejaką bezkarność dla mego fantastycznego przedsięwzięcia i nie potrzebuję rozważać zbyt ściśle: Czy jestem więcej natrętnym? Czy śmieszny?”

PŁOMIENNA NUDA

Pośród zawitych tyrad wyjął w końcu, co działo się z nim w tamtych dniach. „Moje niebo lwowskie jest tak smutne i szare, próżnia, w której tonę, tak zupełna, że rad bym zyskać dla serca mego jakie choćby czysto urojone oparcie i zaczepić się w locie myślą o kilka chwil jaśniejszych, a minionych. Dlatego też wędruję ciągle myślą po świecie zamkniętym dla mnie, a więc idealnym, i szukam gościnności tam, gdzie mi jest dobrze w marzeniu!”

Z tonów rozpaczliwych i łzawych wpaadał w autoironię i sarkazm, przedstawiając się nieco pompatycznie, lecz celnie: „Stało się ze mną, jak z owym bajecznym Tirezjuszem, któremu Jowisz dał moc widzenia rzeczy zaziemskich, a Junona odebrała mu za to ów prosty, zwykły, a konieczny wzrok śmiertelnika”.

Rzeczywiście, wzrok śmiertelnika zawodził go często, o ile w kontaktach z ludźmi bywał niezręczny, to w przypadku pań Grudzińskich zdawał się wręcz ociemniały. Obcowanie z poetą schlebowało im, jednak nawiązywanie było wierzyć, że poezja wzniesie ich wrażliwość „ponad poziomy”. Asnyk uwiązał

w obsesyjnym zauroczeniu młodą panną, na racjonalne przebłytki zdobywając się jedynie w poezji, bo na tle całej historii dołączony do listu „Zwiędły listek”, datowany 12 października 1869, brzmiał doprawdy racjonalnie:

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad,
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał postać w świat...

Ani list, ani tym bardziej wierszyk nie wywołały reakcji. Poeta grał niejako we własnej sztuce, czyniąc ją to melodramatem, to znów sardoniczną komedią, a na marginesie odnotowywał i takie uczucia jak w wierszu „Sentymentalnej”, z tej samej jesieni 1869 roku. To zgryźliwa parodia romantycznego wyznania, w której „smutny i blady upiór z niemieckiej ballady” „w czułym serduszkę współczucie chce wzbudzić”, puentując jednakże szydlerczo, że owa „miłość czysta i anielska” na „śmierć go pewnie zanudzi.”

COŚ NIEOKREŚLONEGO

Gdyby w miłosnych wierszach Asnyka z tamtych lat szukać biograficznych poszlak, wystarczyłoby ich na kilka przeróżnych bohaterów. Nie idzie wszakże o to, by wybitną twórczość przenicować na sercowy dziennik. Być może Aniela była najbujniejszą, ale nie jedyną jego fantazją? Może targana nim namiętność do niej tym gwałtowniejsza, im bardziej okazywała się nierealna? Może w tym wypadku życie nie spletało się z poezją tak wdzięcznie, jakbyśmy chcieli i toczyło się według własnych, prozaicznych prawideł? Zastanawiają słowa Romanowiczówny, jakoby Asnyk zamierzał kupić Snopków pod Lwowem i ożenić się. „Tymczasem majątności tej nie kupił, gdyż wciągnięto go w jakieś fatalne obroty finansowe, w których stracił niemal cały majątek, a ta, którą wtedy kochał piękną choć krótkotrwałą miłością nie podzielała jego uczuć – kochała wtedy innego”. Zofia dodaje, że następnie „przeżył nową miłość, która go jak tamta zawiodła, tylko w inny sposób, bo panna była mu wzajemną – była to panna Aniela Grudzińska.” Czyżby Zofia się nie myliła, i nastoletnia Anielka „była mu wzajemną”, a dojrzałej już Anieli nie godziło się upowszechniać młodzieńczych żądz stłamszonych przez matkę? Czy może była jeszcze inna „krótkotrwała miłość”?

Z pewnością można powiedzieć tyle, że na przełomie lat 69. i 70. Asnyk po serii nierozważnych przedsięwzięć znalazł się w tragicznej sytuacji finansowej. W lutym opublikował „Karnałowy lament poety przy 30 stopniach mrozu”, wymawiając sarkastycznie: „O poezjo! Ty nie grzejesz!”.

Pół roku później wygrzebał jednak grosz, by spędzić kolejne lato w Szczawnicy. W początkach sierpnia panie otrzymały bukiet i wiersz „Posyłam kwiaty...”, z finezyjną aluzją w ostatniej strofie:

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmieje
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

Na brak odpowiedzi zareagował listem do starszej z pań, w którym spisał „historię dwóch lat.” „Wrażenie, jakie wywarła na mnie panna Aniela, było za silne, żebym nie poznał, że mi się go strzec należy. Nie było to jeszcze wprawdzie uczucie, ale było przecucie czegoś nieokreślonego. Kilka dni zachwyty wystarczyły jednak, żeby mi odjąć wszelką nad samym sobą władzę.”

NIC NIE BYŁO

Epistolę kończył słowami: „Ośmielam się wyznać, że Ją kocham i że byłbym najszczęśliwszym, gdyby mi pozostał choć cień prawdopodobieństwa pozyskania jej ręki w przyszłości”. Mogło się zdawać, że łagodny, jak gdyby zrezygnowany ton tych oświadczeń zapowiada upragnioną ciszę po uczuciowej burzy, podobnie jak słynny wiersz napisany już w kwietniu tego roku:

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych,
Nic nas z sobą nie łączyło
Prócz wiosennych marzeń zdradnych.

Cisza okazała się pozorna, Asnyk wysłał bowiem jeszcze kilkanaście „ostatnich listów”, domagając się „rzeczowej odpowiedzi”. Nie porzucając starań pisał i ogłaszał wiersze, w których rozładowywał emocje coraz zjadliwiej. Trudno było liczyć na życzliwość, jeśli Aniela lub jej matka znały choćby wiersz „Przestroga”:

Bardzo rozsądnie robi twa matka
Łamiąc kaprysyk twój idealny...
Miłość – to jakaś ciemna zagadka,

Majątek – ten jest widzialny!

I będziesz wdzięczna swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

Ów „worek ze złotem” bolał go tym bardziej, że sam pogrążał się w ruinie. W październiku 1870 wymówił mieszkanie przy Sykstuskiej i wyjechał na stałe do Krakowa, gdzie zamieszkali jego rodzice, opuściwszy Kalisz, żeby być bliżej syna. Ale i tam nie miał się najlepiej. „Gdyby nie rodzice, to bym nie wysiedział w Krakowie i powróciłbym ze wstydem do ogadywanego przeze mnie Lwowa. Jeżeli tam żyłem jak bosi karmelita, to tutaj niezawodnie jak trapista” – pisał wkrótce do Władysława Łozińskiego. W tym „trapistycznym” położeniu otrzymał od Grudzińskich formalną i ostateczną odmowę ręki jej córki.

Aniela wyszła niedługo za mąż i zniknęła z jego życia bezpowrotnie, pozostając w osobliwym panteonie muz, o których nie sposób powiedzieć, czy trafiły tam same dzięki niezrównanym przymiotom czy tylko prowadzone przez złąknaną fantazję poetów.

POEZJA I KAPITAŁ

„Światowych uczuć nicość i obłuda już mnie nie porwie swym chwilowym ształem” – takie kredo rzucił w którymś z późniejszych wierszy. Mimo to rok po wyjeździe ze Lwowa, będąc w Zakopanem, pisał do przyjaciela: „poznałem dużo aniołów, rozserdeczyliły mnie do tego stopnia, żem się o mało trzem naraz nie oświadczył.” Wspominano, że Asnyk „gdyby chciał, mógł zbierać miłość jak szarlotkę. Wiele panien i nie panien wdychało do niego”. Jednak wszystko grzęzło na melancholijnych mieliznach, jak w ostatnich słowach listu o „wielu aniołach”: „koniec końcem znudziła mi się ta rola głupiego, sentymentalnego Yorricka i zaczynam powracać powoli do zwykłej mizantropii”. Prędzej czy później postrzegał życie jako „brudne ludzi śmiecisko”.

Ceniono jego talent literacki, stał się bodaj najważniejszym poetą epoki, uchodził za wielki autorytet, ale piętno melancholika nosił zawsze, zwłaszcza że sława nie chroniła od nieszczęść. Matka, oddana mu ponad wszystko, umarła wkrótce po osiedleniu w Krakowie. Ojciec, zubożały w giel-

dowym krachu, nie wspierał go już realnym groszem. Żył więc z pisania, niezmiennie drząc o przyszłość i licząc, że świat pary i elektryczności okaże mu wspaniałomyślność. Szukał szczęścia w nafcie i innych dobrodziejstwach epoki – nie znalazł.

Dobiegając czterdziestki ożenił się z 19-letnią Zofią Kaczorowską. Z listów i wspomnień wynika, że bardziej niż porwy serca był to konwencjonalny ożenek, zrealizowany za sprawą nieustępliwości zakochanej panny. Gdy po roku żona umarła tuż po urodzeniu syna, Asnyk na dobre pograżył się w depresji, z której uciekał w podróże po Europie. Przez 22 lata, jakie dzieliły go od śmierci w 1897 roku, nie związał się już z żadną kobietą.

Z jego bogatej, ambitnej twórczości – jak na ironię – najżywotniejsze okazały się utwory, które sam miał za ulotne plody uczuć przeżytych we Lwowie, dokąd przybył z nadzieją na lepszą przyszłość. Wyjechał bogatszy tylko w poezję i bolesną przeszłość, które okazały się najtrwalszym kapitałem.

SZKODA PEREŁ

A cóż Romanowiczówna? Asnyk długo jeszcze błądził po kartach jej dziennika. „Ona szczęśliwa... – notowała na wieść o jego ślubie – Mój Boże, a czyż ja nie mogłam być tą szczęśliwą, gdybym była chciała, gdybym przyjęła jego serce wtedy... I wiem, że sto innych na moim miejscu nie byłoby się zawahało: rozumny i dobry, wysoko ukształcony, bardzo miły, majątny, salonowy, delikatny, szlachetny charakterem, poeta – czegoż więcej żądać można?”.

Zaskakująco gorliwie uwieczniła też złościwostki zasłyszane o przyszłej pani Asnykowej: „mówią, że jest lekkomyślna, gorącego temperamentu tylko a zimnego serca, zalotna, kapryśna i egoistka”. Kilka dni później roztrząsała z coraz większym rozżaleniem „Boże, za co tak? Czemu właśnie moje serce, dlatego że tak głębokie, tkliwe i wskroś kobiece, skazałeś na samotność życia i twarzą dołą? Lada lalka zimna i bez serca budzi miłość wielką, a ja? Już mam być niegodna takiego uczucia? Czym nie lepsza?”.

Ofiara, jaką złożyła z życia, miała jak widać swoją cenę i Romanowiczówna nie płaciła jej z chłodną pokorą, co ujawnia dziennik pisany przez nią od 17. roku życia. Przejmująco ukazuje tam despotyczny



Zofia Romanowiczówna

charakter matki, która uczyniła z niej żywy model własnych przekonań. Zofia, szczerza i wrażliwa romantyczka, latami gasiła swój iskrzący temperament w „potokach łez dziewczyczych”, jak gdyby sam Grottger malował jej los. Nie miała dość siły, by te ramy opuścić i nie spotkała nikogo dość silnego, by ją z tych ram wyrwać. Takim siłaczem na pewno nie okazał się Asnyk. Po pierwszym spotkaniu napisał w jej sztambuchu, mimo woli przepowiadając przyszłość:

Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni,
Szkoda pereł, które leżą w mórz toni...

Wychowano ją na „tę właściwą”. Ale czy potrafiła być mu „upragnioną” wtedy, gdy on właśnie za pragnieniami podążał?

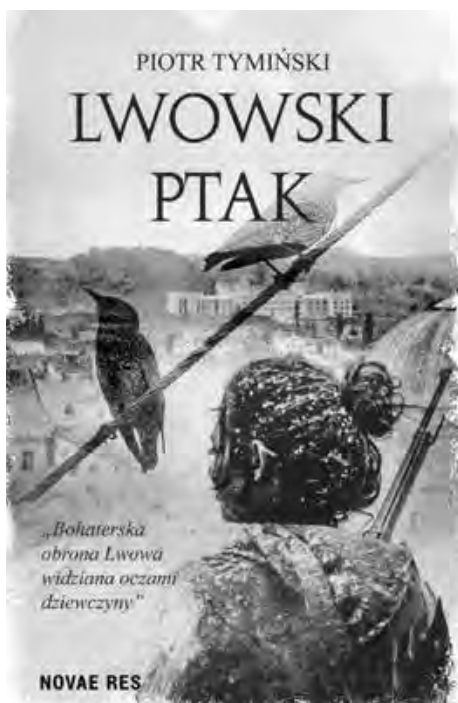
Jedna została wierną muzą przeszłości, zjawą romantycznych nadziei, które go tak boleśnie zawiodły. Druga była złudną muzą świata, który nadchodził i oddalał się zarażem. W żadnym z tych światów nie znalazł sobie miejsca. Oba kobietom ofiarował te same wiersze, w każdej widząc kapłankę toczącej go niemocy.

Zofia, ociemniała, dumna i samotna przeżyła jeszcze dziesięć lat od dnia, w którym obróciła w popiół niegdysiejsze marzenia. Z wojskowymi honorami odprowadzano na Łyczaków narodową heroinię, ostatnią kobietę-powstańca styczniowego, a czy ktoś pożegnał zaklętą w niej dziewczynę i jej zniewolone tęsknoty.

ORLĘTA LWOWSKIE

(fragment)

Prezentujemy fragment książki Piotra Tymińskiego, współczesnego pisarza średniego pokolenia, który powieścią „Lwowski Ptak” składa hołd dzieciom i młodzieży lwowskiej, które w godzinie prawdy, w listopadzie 1918 roku, potrafiły zdać egzamin z obywatelskości i patriotyzmu. Bohaterką powieści jest kilkunastoletnia dziewczyna, Tońka, która chcąc włączyć się do walk w obronie Lwowa przebiera się za chłopaka. Przyjmuje imię Hipolit, a dowódca nadaje jej pseudonim Szpak. Barwnie napisana książka zaskakuje czytelnika znajomością terenu, na którym toczy się akcja. Nie można nie zauważyć jasnego opisu strategii prowadzonych walk, działań obronnych. Przecież Lwów sto lat temu wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj. Autor musiał dokonać rzetelnej analizy nie tylko wspomnień i relacji z wydarzeń. Autor książki, z wykształcenia historyk, musiał być też znawcą strategii wojskowych, czego dowiódł już w poprzedniej książce „Wołyń. Bez litości”, poświęconej samoobronie na Wołyniu. Na stronach książki pojawiają się prawdziwi bohaterowie, choćby kpt. Czesław Mączyński, komendant obrony Lwowa i dowódcy podległych mu odcinków obrony, Antos Petrykiewicz – najmłodszy kawaler orderu Virtuti Militari, Artur Schroeder, którego kilka opowiadań poświęconych małym obrońcom Lwowa publikowaliśmy w poprzednim numerze naszego kwartalnika. Jest uczestnikiem najważniejszych batalii, jakie stoczyli obrońcy Lwowa – w szkole im. Henryka Sienkiewicza, na Pocście Głównej, w Szkole Kadetów, na Górze Straceńców. Jestem przekonany, że lektura fragmentu tej książki zachęci Państwa do sięgnięcia po powieść „Lwowski Ptak”.



Poczulam, jakby powietrze wokół zgęstniało, wszyscy szliśmy w napięciu. Moi towarzysze kroczyli pewnie, gotowi podjąć wyzwanie. Ukraińcy poszeptali między sobą i najwyraźniej postanowili zostawić nas w spokoju. Stefan zatrzymał się i z rękami w kieszeniach płaszcza spoglądał groźnie na mijających nas żołnierzy. Stał tak, aż zniknęli za rogiem.

* * *

Zbliżając się do stacji radiowej, rozglądałam się uważnie. Byłam tu może drugi raz w życiu. Z oddali widziałam antenę radiową, teren nadajnika chroniony drutem kolczastym obsadzonym na betonowych słupach. Ogrodzenie w kształcie prostokąta zabezpieczało kilka drewnianych baraków stojących w środku. Zauważyłam kilkunastu krzątających się chłopców w cywilnych i gim-

nazjalnych ubraniach. Niektórzy z nich pracowali przy okopach od strony bramy wejściowej, inni szykowali stanowiska strzeleckie w obrębie zabezpieczonego terenu. Kiedy tylko znaleźliśmy się w pobliżu, w naszą stronę skierował swoje kroki mężczyzna w mundurze austriackim. Na głowie miał szarą maciejówkę z orzełkiem legionowym.

– Melduję dostawę benzyny – wyrwałam się i ugryzłam w język.

Mężczyzna obrzucił mnie groźnym spojrzeniem. Po czym odezwał się do Stefana:

– Ile paliwa?

– Obywatelu komendancie, mamy sto litrów.

– Jestem kapitan „Wiktor” – powiedział dość ostentacyjnie. – Dziękuję, choć wasz trud jest daremny. Odkryliśmy defekt stacji. Jeśli dostarczą nam potrzebny podzespół, będzie sprawna. – W międzyczasie lustrował wzrokiem przybyłych skautów. – Potrzebuję ochotników – oznajmił.

– Ja się zgłaszam – powiedział jeden z niosących bańkę.

– I ja – oznajmił drugi.

– Ja również – powiedziałam.

Kapitan „Wiktor” spojrzał na mnie dość chłodno.

– Nie mam żadnych środków medycznych, więc funkcja sanitariuszki będzie bez zabezpieczenia medycznego.

– Ja się zgłaszam do szeregów bojowych.

– Mam kilka wolnych karabinów, ale jak panienka będzie wyglądała? Wróg z oddali pomyśli, że jaka czarownica z miotłą stoi – zaśmiał się.

– Może to i dobrze, wtedy się wystraszy. Bo patrząc na was, z daleka się widzi, że tu same dzieciuchy – odparowałam.

– Ha, ha... – roześmiał się głośno. – I jeszcze pyskata. Przyjmuję na sanitariuszkę – powiedział tonem niedopuszczającym dyskusji. – Proszę w baraku radiowym wybrać miejsce na punkt sanitarny. Następnie udać się na stację w Persenkówce, powinni tam mieć jakieś medykamenty.

Weszłam do budynku, którego wnętrze również przygotowano do obrony. Z niełatwym trudem przewróciłam dębowy stół i przeciągnęłam go do rogu pomieszczenia. Pomyślałam, że to dodatkowo zabezpieczy



ewentualnego rannego. Rozpięłam płaszcz i zdjęłam pas z pistoletem. Chwilę stałam niezdecydowana. Dać mu teraz? Nie, wręczę go kapitanowi później – stwierdziłam. Tymczasem schowałam broń do szafki. Wysłałam na zewnątrz i poczułam delikatny powiew chłodnego wiatru. Z drzew przylegającego do ogrodzenia lasu upadło na ziemię kilka suchych liści. W blasku słonecznych promieni okolica wyglądała sielankowo.

– Na stację to w którą stronę? – zapytałam kapitana „Wiktora” instruującego trzech ochotników, jak należy załadować karabin.

– Tam – burknął, wskazując kierunek.

Dziarsko pomaszerowałam przed siebie. Idąc, po lewej miałam ścianę lasu, drzewa liściaste jeszcze nie wszystkie ogołocone, w barwach od żółtej, przez czerwień, do brązu. Szłam drogą, którą niedawno zmierzałam wraz z „benzyniarzami”. Teraz przypominałam sobie, że przecież widziałam stacyjkę kolejową. Schodząc z lekkiego wzniesienia, miałam przed sobą otwartą przestrzeń, więc wyraźnie widziałam nasyp kolejowy. Kiedy znalazłam się na miejscu, zapukałam do drzwi dyżurnego i weszłam do środka. Szyb-

ko przedstawiłam sprawę i kolejarz zaczął grzebać w szafce.

– Mam tu trochę opatrunków i gdzieś jeszcze powinna być jodyna – mówił, drapiąc się w głowę. Na stole położył dwa zwinięte w rolkę opatrunki. Schowałam je do kieszeni płaszczka. – Niech panienka zgłosi się do akuszerki. Na folwarku proszę rozpytać, ludzie pokierują.

W tej chwili zadzwonił aparat.

– Tak – powiedział do telefonu dróżnik, następnie pobrał. Odłożył słuchawkę trzęsącą ręką. – Zaraz wjedzie pociąg ze Strzelcami Siczowymi – zdążył wypowiedzieć te słowa i usłyszeliśmy parowóz.

Wychodząc, spojrzałam mimochodem na zegar, minęła trzynasta. Skład właśnie wjeżdżał na stację. Kilkunastu żołnierzy jeszcze w biegu wyskoczyło na peron i skierowało się do nas.

– Żadnych telefonów – krzyczał jeden z nich.

Z wagonów wysypywała się chmara wojskowych. Natychmiast zaczęli ustawiać się w szeregu i oficerowie zarządzili odliczanie. Na koniec zobaczyłam wyładowywane karabiny maszynowe. Podbiegł do mnie siczowiec, zarzucił karabin na plecy i zaczął mnie obmacywać. Trzasnęłam w czerwony pysk na odlew, aż mu wąsiki opadły z wrażenia. Zamachnął się na mnie pięścią. W tym momencie oficer schwycił go za rękę.

– Nie bij! Toż to dziecko jeszcze.

– Pie... szm... brr – zabalgotał.

Poczułam nieprzyjemną woń alkoholu pomieszanego z potem i czymś jeszcze.

– Piłeś? – zapytał oficer.

– Nie!

– Tę szmatę – wskazał na mnie – trzeba przeszukać.

– Już sprawdzałeś – zaśmiał się oficer.

Odchyliłam poły płaszczka.

– A co ja tu mogę chować – zachnęłam się. – Armatę?

– Wolna jesteś. Do domu, wynocha – powiedział oficer, odwracając się do kolejarza. – Stacja telegraficzna daleko?

– No będzie trochę, to w tamtym kierunku. – Pracownik kolei wskazał w inną stronę.

Oficer zmienił się na twarzy.

– Panie Polak, ja wiem, gdzie jest, bo ją już zaraz będę zdobywał. Pytam się grzecznie, jaka odległość? A może mam poprosić tego tu kaprala, żeby was zapytał? – Poklepał po ramieniu śmierdziała z czerwoną gębą.

Wycofałam się, aby nie zmienili zdania na mój temat. Skierowałam się w stronę folwarku, tak by stracili mnie z oczu. Szybko przebiegłam pomiędzy budynkami i przez łąkę, w kierunku lasu, szłam powoli. Mijając po prawej jakieś zabudowania, spostrzegłam idącego w moją stronę mężczyznę ubranego w uniform leśnika.

– Panienko! Proszę poczekać!

Stanęłam. Człowiek zbliżający się do mnie był gajowym.

– Widziała panienka, co to za transport przyгнаło?

– Tak. Ukraińscy Strzelcy Siczowi.

– Trzeba powiadomić naszych.

– Jestem z załogi radiostacji, właśnie tam zmierzam. Spojrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Tamtędy proszę pobiec. – Wskazał. –

Nawet przez lornetkę nie wypatrzą.

– Dziękuję. Szczęść Boże.



Lwów, pomnik Orłąt obok Politechniki
fot. A. Śmiałowski 1939 r.

– Daj Boże, daj – odpowiedział posępnie i zawrócił do domu.

Kiedy tylko znalazłam się pomiędzy drzewami, pognałam co tchu. Teraz nie musiałam się wdrapywać pod górkę, więc było szybciej. Zbliżając się do naszej „fortecy”, zobaczyłam, jak kapitan „Wiktor”, wyższy od podwładnych o głowę, musztrował swoje wojsko.

– Panie... kapitanie... – zawołałam, wbiegając przez bramę. Zadyszana stanęłam przed obserwującym mnie dowódcą.

– No!... Wykrztuś to z siebie wreszcie – powiedział oschle.

– Pełen pociąg Strzelców Siczowych... – sapałam. – Melduję, że co najmniej setka żołnierzy i karabiny maszynowe mają. Widziałam trzy.

– To ich przywitamy. Chlebem i solą. – Wyprostował się i po chwili przemówił do swych podwładnych:

– Obywatele, przyjdzie nam zaszczyt jako pierwszym obrońcom Lwowa stoczyć bój z elitarną jednostką wroga. Pewien jestem, że okażecie się godni miana żołnierza polskiego. Damy odpór nieprzyjacielowi. Pierwsza drużyna do okopów przy bramie, druga wzdłuż plotu.

Chłopcy, podochoceni nadchodzącym bojem, sprawnie zajęli wyznaczone pozycje. Kapitan „Wiktor” chodził wzdłuż stanowisk.

– Będziemy oszczędzać amunicję. Dlatego podpuścimy ich blisko. Strzelać spokojnie i do pewnego celu. Nieprzyjaciel nie wie, z kim ma do czynienia. Pamiętajcie, że jesteście pierwszą linią obrony w naszym Lwowie. Niech połamią sobie zęby – dodał zawzięcie.

Jakoś tak chodziłam za nim krok w krok. Spojrzył na mnie i kiwnął głową. Podeszłam do budynku.

– Panna może uciekać? – szepnęła.

– Jak to tak?! – powiedziałam zaskoczona.

– Tu będą jatki – oznajmił.

– Ja potrafię strzelać.

– Lepiej, aby nie zobaczyli kobity z karabinem. Jeśli już, to z budynku.

– Mam się kryć?

– Albo lepiej idź z meldunkiem do komendy. Niech wiedzą. I to weź. – Wręczył mi zawiniątko.

– Co to?



Jerzy Boguski, komendant 16 druż. warsz. wzór cnot harcerskich i dzielny żołnierz Powstającej Polski, ginie w obronie Lwowa. Pocztówka nakładem Kół Harcerzy Z. H. P. 1935 r.

– Serce stacji. Dopiero co dostarczone, ale fachowiec już nie zdąży.

– Zostaję z wami! – zdecydowałam.

Kapitan „Wiktor” wyprostował się i zajął mi w oczy. Teraz z jego twarzy nie biła oschłość i pobłażliwość, czy co to było wcześniej.

– Dziewczyno... Ruszaj!

– Rozkaz! Tylko zostawię te dwa bandaże – powiedziałam, wyjmując z kieszeni ofiarowane przez dróżnika opatrunki. Wbiegłam do budynku, położyłam je na półce i z szuflady wyciągnęłam pistolet. Zdjęłam płaszcz i zapięłam pas przez pierś. Koalicijką tak się opięłam, aby broń przylegała do ciała. Nałożyłam płaszczki i zapięłam guzik. Rękoma sprawdziłam, czy nic nie wystaje. Niczego nie widać. Wyszłam na zewnątrz. Kapitan „Wiktor” uczuł swoich ludzi na moment otwarcia ognia. Kazał również rozdzielić amunicję. Spojrzył na mnie.

– Ruszaj, panna, z meldunkiem – powiedział głośno. – Tamtędy. – Wskazał na drzewa przylegające do rogu ogrodzenia.

– Tak jest.

Szybkim krokiem dotarłam do lasu i szłam jego brzegiem, byłam chyba w najwyższym punkcie wzniesienia. Wówczas zza pleców, od strony stacji, doszły mnie nietypowe dźwięki. Odwróciłam się i moim oczom ukazała się dwuliniowa tyraliera. Wtedy kątem oka zobaczyłam po prawej kolejne szeregi schodzące z pagórka od osady

Kozielniki. Tam nacierało dwa razy więcej żołnierzy. Posuwali się równym tempem, wszyscy w stalowych hełmach, krok za krokiem, byli coraz bliżej. Kilku młodych chłopców nie wytrzymało tego napięcia i dało drapakę w kierunku lasu. Zamurowało mnie na ten widok. Jak to – uciekli? Porzucili kolegów? Ja też uciekam! Mogłam się zbuntować, mogłam zostać. Jeszcze mogę wrócić.

– Wracam – powiedziałam sama do siebie, ale nie postąpiłam kroku. – Już za późno, zresztą mam rozkaz – dopowiedziałam na usprawiedliwienie.

Kiedy Ukraińcy byli już bardzo blisko stanowisk obrońców stacji radiowej, rozpoczęła się strzelanina. Nasi oddawali sporadyczne, ale bardzo celne strzały. To ostudziło pierwszy zapal atakujących, zalegli. Otworzyli niesamowicie silny ogień. Cała okolica huczała. Siczowcy poderwali się znowu, ale o dziwo, te doskonale wyszkolone oddziały znów zostały zatrzymane przez garstkę strzelców. Coraz częściej kule zaczęły świszczeć w pobliżu, to był ogień Rusinów nacierających od czoła. Zajazgotwały karabiny maszynowe, huknęły granaty ręczne i pod tą osłoną podjęli jeszcze jedną próbę zdobycia radionadajnika. Patrzyłam i myślałam, że ten widok to sienkiewiczowski atak janczarów albo fale rosyjskiej piechoty zalewające Redutę Orдона.

– O Boże, nie poradzą – wyszeptalam.

Jednak i tym razem obrońcy powstrzymali napastników. Walka przybierała na sile i po słońcu oceniłam, że trwa już ponad godzinę. Znowu powietrze przeciął wzmożony jazgot karabinów maszynowych i do ataku ruszyli Ukraińcy, również z lasu po mojej lewej. Cała okolica zarojła się wojskiem. Żołnierzy było kilka setek. Zgniotą naszych. Kryjąc się za krzakiem, obserwowałam nadal. Chłopcy zaczęli wycofywanie do budynku, jednak nie wszyscy. A więc byli zabici. Teraz Strzelcy Siczowi otoczyli zabudowania i prali do nich z maszynek i z karabinów, oprócz tego rzucali granaty. Spróbowali dostać się do środka, ale zostali odparci. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ostatni polscy żołnierze przestali strzelać. Wówczas Rusini poderwali się do ataku i wdarli do drewnianego budynku. Słyszałam wrzaski i zobaczyłam, jak wyciągnęli ze środka kilku bojowników. Bijąc ich i popychając, wypędzili na środek placu. Czyżby zamierzali ich rozstrzelać? Na szczęście jakiś oficer uspokoił żołdaków, najwyraźniej wściekłych z powodu strat, jakie zadała im garstka młokosów. Teraz byłam wreszcie w stanie opuścić miejsce obserwacji. Wstałam i ostrożnie stąpając, by nie hałasować, ruszyłam przez gąszcz.



Lwów. Budowa. Cmentarza Obrońców Lwowa

Z prof. dr. hab. Maciejem Matwijowem

rozmawia Zbigniew Wawszczak

Panie Profesorze, jak mogło dojść do pominięcia sprawy dóbr kultury w umowach polsko-sowieckich w 1945 r.

Nie wynikało to z zaniedbania strony polskiej. W 1945 r. dobrze zdawano sobie sprawę, że tzw. repatriacja polskich dóbr kultury z ziem odstąpionych ZSRR w zakresie odpowiadającym polskiemu dezcyderatom i oczekiwaniom może zostać załatwiona tylko w powiązaniu jej z przesiedleniem stamtąd ludności polskiej na teren państwa polskiego. Było to jedyne rozwiązanie gwarantujące sukces – trzeba bowiem pamiętać, że prawo międzynarodowe nie znało sytuacji, aby państwo cedujące część swojego terytorium na rzecz innego państwa (tak jak uczyniła Polska na rzecz ZSRR) miało prawo zabrać stamtąd swoje dobra kultury. Ale też sytuacja z lat 1944–1946 była wyjątkowa – dokonana wówczas cesja terytorialna połączona była przecież z przesiedleniem ludności w skali, której dotąd nie znano. Logiczne i uzasadnione więc było, że w sytuacji, gdy tereny te opuszcza ludność polska, miała ona prawo zabrać z sobą dobra kultury przez nią stworzone i dzięki niej zgromadzone w instytucjach przez nią powołanych do życia.

Takie rozwiązanie oczywiście nie przypadło do gustu stronie sowieckiej, która też nie okazała jakiegokolwiek woli włączenia sprawy dóbr kultury do sprawy przesiedlenia ludności polskiej. Jej stanowisko można łatwo zrozumieć – o ile zainteresowana była opuszczeniem tych ziem przez Polaków (pozbywała się w ten sposób dużej i niepotrzebnej dla siebie mniejszości narodowej), to nie była zainteresowana wyzbywaniem się dóbr kultury. Wszelkie więc (nienatarczywe zresztą) próby polskiej dyplomacji zbywała ona po prostu milczeniem. Nie można też zapomnieć, że strona polska występowała z bardzo słabej pozycji – państwa już uzależnionego ekonomicznie, politycznie i militarnie od wschodniego sąsiada, które nie mogło stawiać warunków Związkowi Sowieckiemu. Nie zapomnijmy też,

że sprawy dóbr kultury na ziemiach wschodnich były niejako traktowane drugoplanowo przez władze polskie – nie należały one w ówczesnej sytuacji powojennej do pierwszoplanowych. Efekt był więc taki, że do podpisania formalnej umowy w tej sprawie, będącej niejako odpowiednikiem umów o przesiedleniu ludności polskiej, nie doszło. W chwili więc formalnego zakończenia w lecie 1946 r. akcji przesiedlenia ludności polskiej, Polska straciła nieodwołalnie najważniejszy argument na rzecz repatriacji dóbr kultury.

W jakich miejscowościach znajdowały się polskie dobra kultury w 1945 roku?

Rozmieszczenie polskich dóbr kultury, tj. dóbr wytworzonych przez Polaków lub dzięki ich inicjatywie i wysiłkom zgromadzonych, po zakończeniu II wojny światowej znacząco różniło się od stanu sprzed 1939 r. Wystarczy przejrzeć dzieło Edwarda Chwalewika z 1927 r., żeby się przekonać, że wówczas to rozmieszczenie było bardziej zdecentralizowane – oczywiście dominowały Lwów i Wilno, ale cenne nieraz zbiory znajdowały się na prowincji, w rękach arystokracji, ziemiaństwa i klasztorów. Po upadku państwa polskiego i zajęciu ziem wschodnich przez ZSRR w 1939 r. władze sowieckie na szeroką skalę przeprowadziły nacjonalizację dóbr kultury znajdujących się w rękach prywatnych i dokonały ich skomasowania w dużych ośrodkach administracyjnych – we Lwowie i w Wilnie. Trudno mi szacować, jaki procent polskich dóbr kultury znalazł się po II wojnie światowej w obu tych miejscowościach, ale w przypadku zbiorów o dużej wartości historycznej i artystycznej może nawet w 90%? Oczywiście, w niektórych większych





Biblioteka Zakładu Ossolińskich, Dział Rękopisów
(ok. 1925)

miejsowościach pozostały regionalne placówki muzealne z bardzo wartościowymi zbiorami (np. Grodno). Nie można przy tym zapomnieć, że wraz z tymi przemieszczeniami zmianom podlegały też instytucje gromadzące dobra kultury – po 1939/1940 r. zniknęły takie instytucje jak Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Muzeum

Narodowe im. króla Jana III – we Lwowie czy Biblioteka Wróblewskich oraz Biblioteka, Muzeum i Archiwum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, inne zostały gruntownie przekształcone. Bez wątpienia największymi „depozytariuszami” polskich dóbr kultury stały się po 1945 r. Lwowskie Państwowe Muzeum Historyczne, Lwowska Państwowa Galeria Obrazów, Lwowska Biblioteka Akademii Nauk USRR i Lwowska Biblioteka Uniwersytetu im. Franki, a w Wilnie Biblioteka Litewskiej Akademii Nauk i Muzeum Sztuki.

Jak ocenia Pan zmiany przeprowadzone przez Sowietów w latach 1940–1941 w organizacji zbiorów lwowskich?

Na zmiany te należy patrzeć jako na typowo komunistyczne dążenie do budowania wszystkiego od nowa. Miały one swoje racjonalne jądro – organizację muzeów wg rodzajów zbiorów, ale nie to było chyba głównym celem, lecz zatarcie polskich tradycji placówek muzealnych, stworzenia od podstaw nowych instytucji, tak jak od podstaw budowane było państwo sowieckie. Tam bowiem, gdzie stronie sowieckiej na tym nie zależało, takiej reorganizacji nie przeprowadzono – wskazuje na to pozostawienie Muzeum Narodowego ukraińskiego. Według mnie przeprowadzenie takiej akcji nie było w istocie potrzebne – reorganizowanie i scalanie zbiorów muzealnych czy bibliotecznych, wchłanianie instytucji mniejszych przez większe odbywa się zawsze i wszędzie, jednak nie powinno się to odbywać drogą odgórnych decyzji administracyjnych.

W przypadku Lwowa, w latach 1939–1941, przekształcenia te odbywały się w nieodpowiednich zupełnie warunkach, pośpiesznie, co prowadziło niekiedy do strat w zbiorach.

Panie Profesorze, jak można wyjaśnić zastosowaną przez Sowietów zasadę przynależności terytorialnej dóbr kultury?

Rzeczywiście taką zasadę Sowietowie stosowali, uznając, że przekazaniu Polsce podlegają tylko dobra kultury wytworzone i odnoszące się do Polski w jej granicach powojennych (z 1945 r.), wszelkie inne mają pozostać we Lwowie. Można powiedzieć, że przyjęta przez nich zasada nie miała swojego odpowiednika w obowiązujących normach prawnych (z wyjątkiem archiwalnej zasady pertynencji terytorialnej) i opierała się na kryteriach uznaniowych, ale też ówczesny casus polskich dóbr kultury nie miał analogii w prawie międzynarodowym dotyczącym restytucji takich dóbr. Chodziło o to, aby „dar” ograniczyć do niewątpliwych i bezdyskusyjnych poloników, bardzo wąsko i uznaniowo pojętych, wyłączyć z niego wszystkie inne dobra kultury stanowiące część polskiego posiadania, zgromadzonych w ciągu dziesięcioleci w takich polskich instytucjach jak Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Biblioteka Wróblewskich w Wilnie, Muzeum Narodowe im. króla Jana III, w rękach prywatnych posiadaczy.

Dlaczego Polska nie otrzymała z lwowskich muzeów żadnej zabytkowej broni, mebli i wyrobów staropolskich manufaktur w Korcu i Baranówce?

O tym, jakie obiekty miały być przekazane do Polski, decydowała dobra wola strony ukraińskiej. Zrozumiała, że strona ta w swoim dobrze pojętym interesie starała się zminimalizować zawartość „daru”, dążąc do zachowania wszystkich najcenniejszych obiektów u siebie, zwłaszcza tych reprezentujących najlepszy poziom artystyczny i wartość historyczną czy ogólnokulturową. Zabytkowa broń czy wyroby przemysłu artystycznego są właśnie takimi obiektami, a ich znaczenie jako dorobku polskiej kultury bardzo łatwo podważyć jako wytworu właśnie rzemiosła czy przemysłu artystycznego i to jeszcze stworzonego w dużej części na ziemiach ukraińskich (Korzec!), a nie części intelektualnego dorobku narodu polskiego jak w przypadku np. autografów polskich wieszczów narodo-

wych. Tutaj potrzebny był jakiś gest ze strony ukraińskiej, a tego niestety zabrakło. W mojej opinii natomiast o wiele bardziej negatywnie należy oceniać nieprzekazanie Polsce w całości pamiątek narodowych, w tym zwłaszcza pamiątek po wybitnych Polakach, w które obfitowało zwłaszcza Muzeum Narodowe im. króla Jana III we Lwowie. Zabytki te zupełnie nie były potrzebne Ukraińcom i, jak się wydaje, w dużej części uległy one zaprzepaszczeniu, natomiast w Polsce byłyby one ważnym i pożądanym rodzajem zbiorów. Przypomnijmy, że Lwów to nie tylko pomniki Mickiewicza czy Głowackiego oraz groby Grotgiera i Kopnickiej na cmentarzu Łyczakowskim, ale także wiele innego rodzaju pamiątek.

Czy sądzi Pan, że dostęp do zamkniętych ciągle archiwów ukraińskich i rosyjskich, nie sowieckich, bo ZSRR od 25 lat nie istnieje, mógłby przynieść nowe fakty?

Nie można mówić, że obecnie archiwa są ciągle zamknięte. To uproszczenie, przeniesienie do obecnych czasów sytuacji z okresu ZSRR. Inną sprawą jest, na ile te archiwa zawierają pełną dokumentację dotyczącą interesujących nas spraw – niestety moje doświadczenia wyniesione z pracy w archiwach zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie (w Kijowie) świadczą raczej o tym, że wiele akt zostało po prostu wybrakowanych, z różnych zresztą przyczyn. Tak np. podczas kwerendy przeprowadzonej przed wielu laty nie znalazłem w dokumentacji archiwalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych wielu materiałów, które powinny się tam znajdować, dotyczących właśnie rokowań polsko-radzieckich w zakresie dóbr kultury. Wydaje mi się jednak, że sporo tutaj mogłoby przynieść rozpoznanie archiwów moskiewskich – w Moskwie zapadały bowiem zasadnicze decyzje w sprawach nas tutaj interesujących, więc mogłyby się tam znajdować ważne dokumenty. Ciekawa by była choćby korespondencja między władzami centralnymi w Moskwie a poszczególnymi republikami w sprawie polskich dezyderatów. Ale czy takowe akta się zachowały, to już inna sprawa.

Co pozostało na dawnych ziemiach wschodnich?

W zasadzie ogromna większość tych zbiorów, które znajdowały się tam w 1939 r., no może z wyłączeniem dużej części Biblioteki Ossolineum. W przypadku Wilna przede

wszystkim zbiory dużej Biblioteki Wróblewskich, polskiej biblioteki fundacyjnej stworzonej na początku XX w. Oczywiście do tego można dorzucić przynajmniej część zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego bogatej w polonika, a także zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauki w Wilnie, bardzo ważne z punktu zebranego tam do 1939 r. polskiego dziedzictwa kulturowego. Co do zbiorów sztuki, Wilno nigdy nie było w nie zasobne w takim zakresie jak Lwów. Tutaj zgromadzone są najcenniejsze polonika, na czele z pozostałością Biblioteki Ossolineum (zwłaszcza rękopisy i stare druki, oraz zbiory grafiki i rysunku), Biblioteki Baworskich, Biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego. Najcenniejsze według mnie są jednak lwowskie zbiory muzealne, zwłaszcza zbiory malarstwa, zgromadzone obecnie w Lwowskiej Galerii Obrazów, a pochodzące z kolekcji przedwojennej Galerii, jak i różnych kolekcji prywatnych, z prestiżowymi polonikami (np. obrazy Jana Matejki i całej plejady polskich artystów z XIX i początków XX wieku, malarstwo historyczne). A dochodzą do tego innego rodzaju zbiory, jak przedmioty przemysłowo-artystycznego, zabytki dawnej broni, nieewakuowana w 1944 r. ze Lwowa numizmatyka ze zbiorów Muzeum im. Lubomirskich itd.

Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Prof. dr hab. Maciej Matwijów, ur. w 1958 r., historyk, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, wieloletni pracownik Działu Rękopisów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a od 2008 r. pracownik Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor m.in. książek: *Walka o lwowskie dobra kultury w latach 1945–1948* (Wrocław 1996), *Zakład Narodowy imienia Ossolińskich w latach 1939–1946* (Wrocław 2003), *Mieczysław Gębarowicz (1893–1984) – uczonego i opiekuna narodowych dóbr kultury* (Warszawa 2013).



Muzeum Historyczne Lwowa, ekspozycja z ok. 1930 roku

Stanisław Dziedzic

Z Krzemieńca na Różańcową Górę

Wołyń to okolica wielce malownicza, urozmaicona niewysokimi wzniesieniami, na których przed wiekami wznoszono potężne zamczyska, które strzec miały te niespokojne ziemie przed hordami nieprzyjacielskimi, głównie tatarskimi, raz po raz w perzynę obracającymi te ziemie, uwożąc z nich, z ogołoconych zamków, kościołów i klasztorów, a także plądrowanych miast, cenne łupy. Magnateria kresowa oraz miejscowa ludność, zróżnicowana etnicznie i wyznaniowo, fundowała liczne obiekty kultu religijnego: kościoły, klasztory, synagogi, którym często nadawano charakter obronny. Dziś, po burzliwym wieku dwudziestym, w którym najdotkliwsze rany tym obiektom, bo systemową zagładę przyniósł reżim komunistyczny, niewiele ze świetności dawnej pozostało, ale i te pozostałości, często odarte z wszystkiego, co stanowiło o ich randze kulturowej, artystycznej i kultowej, zaświadczać o potencjale kultury Kresów i ich fenomenie wielokulturowości. Władze ukraińskie podejmuje w niektórych zabytko-



Obraz Matki Bożej z Podkaminia.

wych, historycznych obiektach prace porządkowe i restauracyjne, ale zapewne z powodu niewystarczających środków, którymi dysponują, zabiegi te są nader niewystarczające. W licznych przypadkach obiektów zabytkowych, uznawanych przez nie za dziedzictwo obcej, bo polskiej kultury, zazwyczaj odstę-



Wejście na teren dawnego klasztoru w Podkaminie. Wieża zatapia się we mgłę.
Fot. Janusz M. Paluch

pują od prowadzenia prac zabezpieczających i konserwatorskich, licząc na dotacje polskich władz państwowych.

Uczestnicząc od kilku lat w dorocznie od lat prawie dwudziestu organizowanej polsko-ukraińskiej konferencji naukowej „Dialog dwóch kultur”, która tradycyjnie odbywa się w Krzemieńcu, w tamtejszym dworku – muzeum Juliusza Słowackiego, a także w gmachu dawnego Liceum Krzemienieckiego oraz każdorazowo, ze względu na poboczną tematykę obrad, w innych pobliskich miejscowościach związanych historycznie ze znanymi i zasłużonymi dla kultury polskiej i ukraińskiej osobami, śledzę postępy tych prac, a także taktykę centralnych i lokalnych władz państwa ukraińskiego w tym zakresie. A Ukraina boryka się z ogromnymi problemami ekonomiczno-gospodarczymi, ale i nie mniej ciężkimi problemami politycznymi i społecznymi. Młode państwo jest w stanie permanentnego konfliktu zbrojnego z potężną Rosją, a podłoże tych konfliktów się poszerza.

W samym Krzemieńcu, na wysokiej, panującej nad miastem, skalistej Górze Królowej Bony prowadzone są od niedawna prace zabezpieczające i konserwatorskie przy ruinach zamku, ale już w samym mieście trwa w tym względzie zastój. Pięknie położony nad rzeką lkwą Krzemieniec kiedyś zachwycał malowniczą drewnianą zabudową, wśród której z czasem dominować zaczęły piękne sylwety kościołów i cerkwi, z majestatycznie usytuowanym potężnym, późnobarokowym zespołem kościelno-klasztornym Jezuitów i kolegium Jezuitów, który po likwidacji klasztoru i kolegium jezuitskiego, stał się siedzibą założonego przez Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja słynnego Liceum Krzemienieckiego. Obecnie rozbudowany gmach pojezuicki jest siedzibą uczelni wyższej, a dawny zakonny kościół, zamieniony w czasach sowieckich na magazyn, przekazany został przez władze ukraińskie w latach 90. ubiegłego wieku Cerkwi prawosławnej. Resztki dawnej świetności zachowały, mimo tyłu przeciwności losu, krzemienieckie świątynie i bardzo nieliczne obiekty użyteczności publicznej. A przecież, wśród tej codziennej zgrzebności i potwornego za-



puszczenia, widać w ostatnich latach jakąś większą dbałość o niewymagającą dużych finansowych nakładów estetykę w obejściach, na publicznych placach.

Konferencja „Dialog dwóch kultur”, organizowana corocznie przez niezłomowanego Mariusza Olbromskiego, do niedawna dyrektora Muzeum Narodowego w Przemysłu, obecnie dyrektora Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku na Mazowszu, przy wsparciu organizacyjnym i finansowym władz i instytucji polskich oraz ukraińskich, zyskuje na znaczeniu, uczestniczą w niej ludzie zajmujący znaczące miejsca w świecie nauki i kultury. Miasto rodzinne Juliusza Słowackiego corocznie w pierwsze wrześnie dni, podczas konferencji naukowej „Dialog dwóch kultur”, podkreśla swoje związki z wybitnym poetą, a miejscowe Muzeum Juliusza Słowackiego udziela gościny konferencyjnym poczynaniom, bo właśnie w jego pięknych wnętrzach oraz w pobliskich pojezuickich gmachach odbywają się sesje naukowe, koncerty i warsztaty.

Każdorazowo konferencję poprzedza msza św. w miejscowym kościele rzymskokatolickim pw. Świętego Stanisława, w którym znajduje się pięknej artystycznej roboty pomnik Juliusza Słowackiego, dłuta Wacława Szymanowskiego, wzniesiony w setną rocznicę urodziny wieszczą – w 1909 roku. Podobno ze względu na ten monument, po ostatniej wojnie jedyną pamiątkę zaświadczałą o związkach Słowackiego z Krzemieńcem, władze sowieckie nie dopuściły się zamknięcia tej świątyni. Przez kilka dziesięcioleci był to jedyny czynny kościół katolicki na terenie diecezji łuckiej, brutalnie zlikwidowanej przez władze sowieckie.

Ze względu na podjęte przez Bibliotekę Kraków zadania związane z organizacją na terenie Krakowa „Narodowego Czytania”



w roku 2018 literatury związanej ze 100-leciem odzyskania przez Polskę niepodległości, zmuszeni byliśmy wraz z Januszem Paluchem do wcześniejszego opuszczenia gościnnego Krzemieńca i udania się w drogę powrotną, przez Lwów – do Krakowa.

Wybraliśmy się z Krzemieńca na tyle wcześniej, by przed dotarciem do Lwowa obejrzeć któreś z historycznych miejsc położonych na tej trasie. Zrezygnowaliśmy tym razem z odwiedzenia ławry poczajowskiej, która po dokonanych tam pracach konserwatorskich prezentuje się, na tle powszechnej szarości i zabiedzenia, wyjątkowo okazale. Ten wyrazisty kontrast nabierał tego lata dodatkowego wymiaru, gdy walka w łonie skłóconego organizacyjnie i podzielonego ukraińskiego prawosławia weszła – jak się wydaje – w etap formalnych rozstrzygnięć ze strony patriarchatu ekumenicznego konstantynopolskiego, o przyznaniu Kościołowi prawosławnemu na Ukrainie autokefalii, a tym samym zerwania kanonicznej zależności od prawosławnego patriarchatu moskiewskiego. Choć nietrudno sobie wyobrazić dalszy scenariusz skłócenia pomiędzy trzema strukturami cerkiewnymi – Cerkwi uznającej zwierzchnictwo patriarchy moskiewskiego, wciąż niekanonicznego patriarchatu kijowskiego i tzw. Cerkwi autonomicznej, sytuacja ławry w Poczajowie, uznającej zwierzchnictwo religijne patriarchy Moskwy i postrzeganej jako opoka trwania przy dotychczasowej podległości Moskwie, stała się niełatwa. Scenariusz konfrontacji o wpływy natury religijnej będzie miał charakter polityczny, a rzutować to będzie na relacje pomiędzy Moskwą i Kijowem, od lat bardzo napięte. Wydarzenia te nie mogą więc nie wpływać na obecne nastroje panujące w samej ławrze.

Zrezygnowaliśmy z odwiedzenia Podhorców i Oleska, wybraliśmy Podkamień. W każ-

dej z tych miejscowości byliśmy bowiem w ostatnich latach kilkakrotnie, śledząc tempo i zakres prac przy zamku w Podhorcach i pobliskim kościele zamkowym św. Józefa, a w Olesku – położonego na malowniczym wzniesieniu zamku i dawnego zespołu klasztorowego Kapucynów, w którym zgromadzono ogromne zbiory ze zdesakralizowanych bądź ograbionych przez władze sowieckie kościołów i klasztorów. Zarówno Olesko, jak i Podhorce należące w przeszłości do możnych rodzin, w tym także do Sobieskich, czasy świetności już przeżyły i nic nie wskazuje na to, że w przewidywalnej przyszłości je powtórzą. Co najwyżej odnowione zostaną tamtejsze pomniki historii, najlepiej przy współudziale polskich konserwatorów, by zapewnić im przestrzeganie przywoitych standardów konserwatorskich.

A Podkamień, do którego dość nieoczekiwanie postanowiliśmy dotrzeć, nie zważając na niedogodności związane z jakością tamtejszych dróg? W ubiegłym roku z tarasu sprzed poczajowskiego klasztorowego soboru widać było w oddali panującą nad okolicą wieżę podkamieńskiego kościoła. Teraz dojeżdżając do Podkamienia nie mogliśmy dostrzec tonącej we mgle i nisko posadowionych chmurach monumentalnej sylwetki wieży jednego z najsławniejszych kresowych kościołów i na pewno najpiękniejszych.

Miasteczko Podkamień położone jest na styku historycznych granic Rusi Czerwonej, Wołynia i Podola, u stóp wyniosłej Góry Różańcowej, na której szczycie od stuleci panuje nad całą okolicą monumentalny zespół klasztorny Dominikanów. Pełne tajemnic i legend są pradzieje Podkamienia i jego okolic. Miał to być w odległej przeszłości ośrodek kultów pogańskich, stąd wyruszyły grabieżcze wyprawy Połowców budzące postrach wśród okolicznych ludów, wiele legend towarzyszy potężnej samotnej skale nieopodal klasztoru, a zwanej „Diabelskim Kamieniem”, od której położone u podnóża Góry Różańcowej miasteczko zwano Podkamieniem. Prastara klasztorna tradycja głosi, iż już początkiem XIII w. dotarła tu dominikańska misja św. Jacka Odrowąża. Dominikanie mieli już wówczas założyć na tej górze klasztor, ale nie przetrwał on długo, bowiem w myśl tej tradycji – już w 1245 r. – ponieśli oni śmierć męczeńską z rąk Tatarów. Znacznie lepiej

udokumentowana jest fundacja klasztoru na 1464 r., choć też nieuchwytna w strukturze architektonicznej obiektu. Wtedy to Piotr Cebrowski, właściciel tamtejszych dóbr, założył u stóp góry miasto, a na samej górze zamek i klasztor z kościołem. Pierwsza historyczna wzmianka podaje, iż 15 sierpnia 1464 r. arcybiskup lwowski Grzegorz z Sannoka poświęcił murowany kościół i klasztor „dla nieustającej chwały Imienia Najświętszej Panny Rodzicielki Syna Bożego”. I tym razem kres istnienia klasztoru Dominikanów położyli Tatarzy, którzy w 1519 r. zniszczyli gmachy klasztorne, mordując część zakonników, a pozostałych przy życiu zabrali do niewoli.

Na przełomie XVI i XVII w. istniała na Górze Różańcowej drewniana (zapewne) kaplica mieszcząca obraz Matki Boskiej, do którego pielgrzymowali przedstawiciele wszystkich stanów, z dalekich nierzadko stron. Pokazywano przybyszom szczególną pamiątkę objawienia Bogarodzicy – ślady stóp NMP odbite na skale, osłonięte z czasem odrębną kaplicą.

Kiedy po rodzinie Kamienieckich przeszedł Podkamień w ręce Cetnerów, na zaproszenie Baltazara Cetnera powrócili dominikanie do Podkamina (ok. 1607), a w 1612 r. rozpoczęto budowę nowego kościoła i klasztoru.

Istnieją różne przekazy dotyczące wieku i pochodzenia słynnego obrazu podkamienieckiego. Jest on bez wątplenia wzorowany na słynnym rzymskim wizerunku Matki Bożej Śnieżnej, nazywanym z czcią przez rzymian *Salus Populi Romani* – Wybawicielką Ludu Rzymskiego. Już na początku XVII w. podkamieniecki obraz okoliczny lud uznawał za laskami słynący, pielgrzymowali do niego przedstawiciele najmożliwszych rodów polskich, hetmani, a z czasem także królowie. W 1644 r. specjalna komisja kościelna badała zeznania zaprzysiężonych świadków, w oparciu o które w 1645 r. biskup łucki ogłosił obraz cudownym. Przed zajęciem klasztoru przez wojska Bohdana Chmielnickiego zakonnicy zdołali wywieźć z Podkamina do Brodów, a następnie do Lwowa obraz Matki Boskiej wraz z licznymi wotami i kosztownościami w złocie, srebrze i drogocennymi kamieniami. Zakonnicy powrócili do klasztoru w 1650 r. i przystąpili do odbudowy obiektów ze zniszczeń wojennych



i katastrofy budowlanej. W tych warunkach, mimo sławy sanktuarium ściągającej licznych pielgrzymów oraz bogatych donatorów, budowę kościoła i klasztoru ukończono zasadniczo dopiero w 1695 r. dzięki pomocy finansowej króla Jana III Sobieskiego. Monarcha ów, doceniając rangę miejsca, postępowanie prac budowlanych przy zespole klasztornym, wreszcie ideę ufortyfikowania go, miał powiedzieć: „Uczynię wam z Podkamina drugą Częstochowę”. Z fundacji Sobieskiego obok prac budowlanych (m.in. wspaniałe sklepienie w kościele) sprawiono liczne paramenty liturgiczne oraz ornaty i kapy wykonane z bogatych tkanin zdobytych pod Wiedniem.

W 1727 r. odbyła się w Podkaminie uroczystość koronacji cudownego obrazu



Podkamień, odnowiona figura Matki Boskiej, stojąca na kolumnie na dziedzińcu klasztoru. Fot. Janusz M. Paluch

szczerotłotymi diademami poświęconymi przez papieża Benedykta XIII. Aktu koronacji dokonano 15 sierpnia, ale uroczystości trwały całą oktawę, z udziałem wielotysięcznych tłumów wiernych. Z polecenia obu hetmanów wielkich: koronnego i litewskiego, uroczystości te uświetniły formacje wojskowe – husaria, pancerni i artyleria. Uczestniczyli w nich przedstawiciele najmniejszych rodów magnackich z dworami, szlachty, cechów rzemieślniczych, a także mieszczaństwo i chłopcy. Koronacja obrazu dokonana zaledwie w dziesięć lat po koronacji pierwszego wizerunku na ziemiach Rzeczypospolitej – obrazu jasnogórskiego – była uznawana za najwspanialszą tego typu uroczystość w przedrozbiorowej Polsce. Ostateczny kształt świątynia otrzymała dopiero w III ćwierci XVIII w. – kiedy do kościoła sprawiono wspaniałe ołtarze, polichromię wykonał Stanisław Stroiński, obrazy ołtarzowe – Szymon Czechowicz, a piękny hełm wieńczący wyniosła wieżę zaprojektował, wzorując się zapewne na wieży zegarowej z Wawelu, Paweł Giżycki. Ogromne zasługi w rozbudowie klasztoru i jego murów warownych położył Michał Potocki, który wcześniej pokrył znaczną część kosztów uroczystości koronacyjnych.

Na ostatnie lata przed I rozbiorem Polski przypadł czas największej świetności sanktuarium. 8 sierpnia 1772 roku Podkamień został zajęty przez wojska austriackie. W pobliżu sanktuarium zaborcy wytyczyli austriacko-rosyjską granicę. Na peryferiach położone miasteczko spadały liczne epidemie i, zwłaszcza w XIX wieku, pożary, które dziesiątkowały ludność i wyniszczały jego dotychczasową zasobność. W roku

1861 ogień strawił ponad dwieście domów – niemal całą zabudowę mieszkalną miasta. Z tego stanu wyniszczenia Podkamień podnosił się powoli i z trudem. Dzieła zniszczenia dopełniły zacięte walki, które toczyły z sobą w latach 1914–1915 wojska rosyjskie i austriackie. Okupacja wojsk rosyjskich pogłębiła te zniszczenia – miasto zostało spustoszone nieomal doszczętnie.

W okresie zaborów dominikanie pozostali wprawdzie na Górze Różańcowej, ale ranga sanktuarium była mniejsza, klasztor utracił znaczną część sreber, armaty i hakownice, a w 1870 nieznanymi sprawcami skradł złote korony i berło z cudownego obrazu.

W okresie I wojny światowej w wyniku ostrzału artyleryjskiego sponął dach kościoła oraz znaczna część klasztoru, z cennymi zbiorami, archiwum i biblioteką. Wojska rosyjskie, a następnie sowieckie dopuściły się splądrowania klasztoru i częściowej rozbiorczy umocnień. W okresie międzywojennym podjęte zostały intensywne prace remontowe, ale wszystkich zniszczeń nie zdołano naprawić. W 1927 r. odbyły się w Podkaminieniu uroczystości rekonstrukcji cudownego obrazu. Po aneksji Kresów przez ZSRR w 1939 r. dominikanie zmuszeni zostali do opuszczenia klasztoru, w którym urządzono spółdzielnię rzemieślniczą, ale kościół klasztorny pozostał czynny. Na mieszkających w miasteczku Polaków spadły masowe aresztowania i deportacje. Z kolei w okresie okupacji hitlerowskiej Niemcy dopuścili się eksterminacji tamtejszej ludności pochodzenia żydowskiego, wykorzystując do tego celu także antagonizmy narodowościowe, zwłaszcza żydowsko-ukraińskie. Tragiczne były początki 1944 r. dla tamtejszych Polaków. Już wcześniej, w 1943 r., w okolice Podkaminienia napłynęli liczni uchodźcy polscy z Wołynia ogarniętego falą terroru ze strony nacjonalistów ukraińskich. W sytuacji zagrożenia wielu Polaków schroniło się w klasztorze, pod osłoną murów obronnych i kilkunastoosobowego oddziału samoobrony podległego Armii Krajowej. W marcu 1944 r. w klasztorze przebywało ok. 500 osób, głównie starszych, kobiet i dzieci. 11 marca niemiecki garnizon opuścił Podkamień, a już następnego dnia duży oddział nacjonalistów ukraińskich, wzmocniony siłami z *Ukrainsche Hilfpolizei*, otoczył klasztor, dokonując masakry ludności polskiej. Wymordowano



Podkamień, zniszczony kościół poddominikański w nieustannym remoncie. Fot. Janusz M. Paluch

ok. 250 osób, a poza obrębem klasztoru ok. 600 osób.

Cudowny wizerunek Matki Bożej Podkamieńskiej ocalał z rzezi i zniszczenia, jaki zgotowali warownemu klasztorowi i broniącym się w jego murach Polakom banderowcy. Na niedługo przed tymi tragicznymi wydarzeniami i wkroczeniem tam Armii Czerwonej wywoził go z klasztoru, wraz z barokową pozłacaną srebrną sukienką ufundowaną na uroczystości koronacyjnej w 1727 roku, ojciec Józef Burda, jeden z nielicznych zakonników dominikańskich, którzy przetrwali te tragiczne wydarzenia wojenne. Wizerunek przewieziony został do pobliskiego Krzemieńca, a stamtąd do Lwowa. Gdy i z lwowskiego klasztoru zmuszeni zostali dominikanie do wyprowadzki, zabrali sławny, otoczony kultem obraz do Krakowa, do tamtejszego klasztoru Świętej Trójcy. W 1957 r. obraz Podkamieńskiej Pani przewieziony został do Wrocławia, do tamtejszego dominikańskiego kościoła św. Wojciecha. Cieszy się wciąż żywym kultem, zwłaszcza wśród ludności wywodzącej się z Kresów, ale znacznie mniejszym niż w samym Podkamieniu.

Po wojnie w mocno zniszczonym, splądrowanym klasztorze władze sowieckie urządziły więzienie, a w latach 50. – szpital psychiatryczny. Kościół zamieniono na stajnię, a z czasem na garaż.

Wnętrze świątyni, słynące z najwyższej klasy barokowego wystroju, zostało całkowicie zniszczone już w pierwszych powojennych latach, gdy więźniowie osadzeni w kościele i klasztorze ratując się przed dotkliwym zimnem, spalili w całości drewniane wyposażenie kościoła, z którego ocalał jedynie przerużony przez więźniów za mur zabytkowy, XVII-wieczny drewniany krzyż.

W 1997 r. władze ukraińskie przekazały formalnie klasztor greckokatolickiemu zakonowi studytów, ale zdecydowanie większą część zabudowań zajmuje wciąż szpital. Kilkuosobowa grupa zakonników podjęła, w miarę nader ograniczonych możliwości, próby zabezpieczenia kościoła przed dalszym zniszczeniem. A ze świątyni, uchodzącej kiedyś za jedną z najpiękniejszych w Polsce, pozostały jedynie nadwątlone mocno mury, niestwarzające większych nadziei na uratowanie zabytku. Studyci zdołali odnowić oratorium, w którym mieści się dziś cerkiew św. Krzyża. Umieszczony w niej krzyż, uznawany za cudowny, jest jedynym przedmiotem kultu, jaki ocalał z przebogatego kiedyś wyposażenia podkamienieckiej świątyni.

Czy proces zniszczenia da się tu odwrócić?

A z klasztorowego ogrodu wciąż częściej wykopywane są ludzkie kości niż kamienie. Tragiczne memento XX wieku.

W pochmurny, zimny dzień ogrom zniszczeń i zapuszczenia tak pięknej kiedyś fortecy Maryi przedstawiał się nam wyjątkowo przynębiająco... A jednak zrekonstruowany w ostatnich latach hełm wieży kościoła klasztorowego (poprzedni został rozebrany, bo groził zawaleniem) wylaniający się spod niskiego pułapu chmur dawał jakąś nadzieję – mimo wszystko.



Historia pewnej rodzinnej kolekcji

Ponura grudniowa noc 1896 r. Pociągiem jadącym do Rożniatowa podróżuje młode małżeństwo, Jan i Amalia Leskowiczowie, właściciele majątku ziemskiego położonego w powiecie Dolina na Kresach Wschodnich. Trudy podróży, stan napięcia nerwowego powodują u młodej kobiety wcześniejszy poród. Na świat przychodzi mały Aleksander. Przypadkowe współpasażerki stają się akuszerkami. Nagle dziecko słabnie, robi się sine. Z pewnością umrze! Zapada decyzja: czym prędzej trzeba je ochrzcić! Najbliżej jest do cerkwi prawosławnej. Tam pop poświęca dziecko Bogu. I cóż się dzieje? Mały brzdąc chwilę później odzyskuje siły, głośno oznajmiając całemu światu: Oto jestem z wami!

Jakiś czas później odbywają się drugie chrzciny, tym razem w obrządku łacińskim, w wierze ojców. Młodość dziecka, które przyszło na świat w tak nietypowych okolicznościach, upływa dość zwyczajnie: szkoła, dom rodzinny, koledzy. Na studia architektoniczne wyjeżdża do Pragi. Tam poznaje i zaprzyjaź-



Aleksander Leskowicz

nia się ze znanym później malarzem Władysławem Hofmanem. Dowodem ich zażyłości są malowane przez artystę portrety rodziców Aleksandra. Po ukończeniu studiów lokuje się wpraw w Stanisławowie, potem Kosowie, gdzie wraz z pierwszą żoną prowadzi pensjonat Jadwiga. Bywają u nich ludzie ze świata nauki, polityki, bohema artystyczna.

Po śmierci żony, jako miejski budowniczy przenosi się do Lwowa. Jego mieszkanie gęsto zapełniają regały zawierające tomy oprawne w skórę, obiekty piękne i cenne, o niesłychanej wręcz wartości historycznej. Nie wiadomo, ile z nich pochodziło z domu rodzinnego, ale wiadomo na pewno, że kolekcja gromadzona z taką pieczołowitością wzbudzała zachwyt i zainteresowanie lwowskich, i nie tylko, bibliofilów. Między nimi znalazł się Rudolf Mękicki; historyk, medalier, twórca i kolekcjoner ekslibrisów. To on stał się autorem trzech znaków własnościowych, z których dwa ozdobiły zbiory Aleksandra, a trzeci niedawno został odkryty przez syna. Jak historia uczy, nic nie trwa wiecznie. Nadeszły ponure czasy II wojny światowej. Po śmierci jednego z synów, 22-letniego Jerzego, żołnierza AK, zabitego 21 lutego 1944 r. we Lwowie przez ukraińskich nacjonalistów, rodzina przenosi się do Krakowa. Ze zbioru liczącego parę tysięcy zabierają ze sobą skromną jego część. Udało się ewakuować niecałe 600 woluminów. Reszta księgozbioru uległa rozproszeniu.

Dzięki pomocy kardynała Sapiehy zajmują mieszkanie z widokiem na Uniwersytet Jagielloński. W trzecią rocznicę urodzin zamordowanego Jerzego, Aleksandrowi i jego drugiej żonie rodzi się syn. Jest 23 kwietnia, dzień któremu patronuje św. Jerzy. Dziecko zostaje ochrzczone jego i nieżyjącego brata imieniem. Rodzina przeprowadza się do Wadowic, a Aleksander dostaje awans na dyrektora Zarządu Dróg i Mostów w Krakowie. Względna stabilizacja znów nie trwa długo. Rodzina z powodów politycznych zostaje przeniesiona do Wrocławia, potem tuła się po różnych miasteczkach na Ziemiach Odzyskanych. Zbiory coraz to bardziej się wykruszają. Giną, są sprzeda-

A. Leskowicz z drugą żoną w Krakowie (1945)

wane. W chwili śmierci Aleksandra w 1963 r. pozostaje dosłownie parę ksiąg, w tym spis katalogowy skreślony ręką właściciela. Kolejne lata to szara codzienność, walka o byt. Dzieci wychowywane przez matkę usamodzielniają się.

Jerzy szuka swego miejsca na ziemi. Aktywny, rzutki, energiczny, wszędzie go pełno, nigdzie miejsca nie zagrzeje. W końcu wraz z rodziną osiada w Paryżu. Tam też osiąga sukces. Związki rodzinne z Polską, z Warszawą i Wrocławiem nie pozwalają zapomnieć o przeszłości. Na swoje imię niny dostaje od matki i siostry niewielkich rozmiarów książeczkę, oprawną w mocno zniszczoną skórę. Tak, jest to ów katalog ze spisem 537 ksiąg, które zainicjowały słynną lwowską kolekcję jego ojca. We wrocławskim mieszkaniu odnajdują się ostatnie egzemplarze ksiąg. Czy to możliwe? Jako młody chłopak nie interesował się przeszłością, kolekcją, nie pojmował jej wartości i znaczenia. Wtedy ważniejsze były piłka, ryby i rower, a nie historia którą ojciec starał mu się przekazać. Ale teraz... Coś się zmieniło... Może warto byłoby wrócić do tematu? Choćby z ciekawości.

Uruchomieni zostają antykwariusze, rodzina i znajomi. Czy ktoś widział, czy ktoś zna...? Szukamy starych ksiąg! Jakich?



Rodzina Leskowiczów przed pensjonatem w Kosowie (1929)



A takich ze spisu z katalogu. Znaki charakterystyczne: ekslibrisy Mękickiego. I stało się coś dziwnego i zarazem wspaniałego. Z różnych stron Polski, potem i Europy zaczęły napływać sygnały – jest, odnalazło się. Kolekcja powoli, z wielkim trudem zaczęła się odradzać. Większość ksiąg wróciła na swoje miejsce, niemniej wiele z nich czeka gdzieś jeszcze na powrót do domu. Historia zatoczyła koło, ale się nie zamknęła. Ma swój ciąg dalszy.

Kolekcjonerska pasja, która zrodziła się pod wpływem impulsu, jakim było odnalezienie lwowskiego spisu ksiąg należących do Aleksandra Leskowicza, doprowadziła w krótkim czasie do zgromadzenia przez jego syna Jerzego zbioru obejmującego ponad 1500 woluminów starodruków i wydawnictw późniejszych. W zbiorze tym znajdują się również dwa rękopisy. Są to modlitwinki zawierające duplikację do wszystkich świętych na każdy dzień roku. Starodruki stanowią zbiór tematycznie bardzo różnorodny. Zgromadzono wiele znamienitych dzieł, wśród których wymienić należy m.in. drugie wydanie *De revolutionibus orbium coelestium* Mikołaja Kopernika, *Biblię* Jakuba Wujka z 1599 r., *Kronikę* Polski Wincentego Kadłubka wydaną w 1612 r., *Torquato Tasso Goffred, albo Jeruzalem wyzwolona* tłumaczone przez Piotra Kochanowskiego – I wydanie z 1618 r., Jana Długosza *Historia*



Eklibris Aleksandra Leskowicza autorstwa Rudolfa Męckiego.

Goulda *The Birds of Europe, Asia, Australia, New Guinea* i pozostałe, zawierające ręcznie kolorowane litografie.

Osobną grupę stanowią dzieła traktujące o historii, historii sztuki, modzie, etnografii i architekturze. W tym miejscu należy wymienić przede wszystkim kodeks autorstwa Witrowiusza *O architekturze ksiąg dziesięć* pochodzący z 1552 r. Bogato reprezentowana jest tematyka wojskowości, plany bitew i kampanii wojskowych, biografie władców i wielkich wodzów oraz rodzaje żołnierskiego umundurowania. Wiele ksiąg zostało zarchiwizowanych ze względu na ich oprawy wyróżniające się wyjątkowymi walorami artystycznymi. Nie sposób opisać w tym miej-



Ocalały katalog ksiąg A. Leskowicza

Polonica – wydanie z 1615 r. i wiele innych białych kruków. Zbiór obejmuje publikacje o tematyce religijnej, zbiory przepisów prawnych, księgi medyczne, bogato ilustrowane zielniki, atlasy gromadzące zarówno mapy, jak i opisy miast, dzieła z zakresu astronomii, zoologii, przyrody, w tym kompletną serię słynnych wydań Johna

scu, choćby pobieżnie, całą zawartość tej niezwyklej kolekcji.

Obudzona pasja kolekcjonerska Jerzego Leskowicza ewoluowała jednak dalej. Kolejny przypadek w jego życiu dał asumpt do zainteresowania się japońskim drzeworytem z przełomu XVIII i XIX w. W XV Dzielnicy Paryża, nieopodal Pól Marsowych i wieży Eiffla mieści się biuro Jerzego, dewelopera i przedsiębiorcy branży architektoniczno-budowlanej. Na wprost niego znajduje się niewielki antykwariat sztuki azjatyckiej, niepodzielne królestwo pana Hionam Choi. Są to dwa diametralnie różne światy. Z jednej strony zaawansowane technologie budowlane, nowoczesne projekty, innowacyjność, dynamika i wszystko z czym kojarzy się XXI wiek, z drugiej świat papieru, porcelany, starych rzeczy, miejsce wydawałoby się zapomniane przez Boga i ludzi.

Przez wiele lat bohater naszej opowieści codziennie w drodze do pracy obojętnie mijal witrzynę sklepiku. Pewnego dnia, przy okazji sprzeczki o miejsce postojowe, poznał jego właściciela. Wtedy też po raz pierwszy zwrócił uwagę na starannie wystawione książki i grafiki. Pojawiła się myśl, że może tam, w czeluściach tego składu różności, można znaleźć coś, co będzie miało choć daleki związek z rodzinną kolekcją starodruków. Wizyty u jakże sympatycznego sąsiada stały się częste, a każda następna powodowała rosnącą ciekawość. Wstępne rozczarowanie spowodowane było zawiedzionymi nadziejami: tu nie znajduję dla siebie nic związanego z rodzinną kolekcją, natomiast ciekawość wzbudziły bogato ilustrowane książki o sztuce Dalekiego Wschodu.

Pan Hionam Choi był prawdziwym znawcą tematu. Ze swadą rozprawiał o zachwycającym świecie kultury japońskiej. Z biegiem czasu owe spotkania stały się codziennym rytuałem dwóch równorzędnych partnerów dyskutujących o wspólnej fascynacji drzeworytami mistrzów ukiyo-e. Fantastyczne pejzaże, widoki miast, niespotykany w Europie sposób traktowania perspektywy stały się motywem przewodnim ich niekończących się dysput. Tylko kwestią czasu było uzależnienie Jerzego od następnego zbierackiego nałogu. Powoli rodziła się

nowa kolekcja, kolekcja do szpiku kości własna, niezwiązana z dziełem ojca.

Pierwsza wizyta w Japonii w 2006 r. i kolejne podróże przyniosły kontakty z tamtejszymi ekspertami, pozwoliły mu poszerzyć i ugruntować wiedzę na temat japońskiej sztuki drzeworytniczej. Obecnie kolekcja drzeworytów Jerzego Leskowicza stanowi jeden z najwybitniejszych prywatnych zbiorów w Europie. Składają się na nią między innymi dzieła takich twórców jak: Utagawa Hiroshige, Utamarō Kitagawa,

Katsukawa Shunshō, Keisai Eisen, Tōshūsai Sharaku, Katsushiki Hokusai. Na szczególną uwagę zasługują kompletne cykle serii Sześćdziesiąt dziewięć stacji na drodze do Kisokaidō, Słynne widoki Kioto i Sto słynnych widoków Edo, Trzydzieści sześć widoków Fuji Hokusaja oraz kilka unikatów, jedynych znanych na świecie egzemplarzy drzeworytów m. in. autorstwa Kabukidō Enkyō. Część tych wspaniałych zbiorów zaprezentowana została na wystawie pt. „Podróż do Edo”, która miała miejsce w Muzeum Narodowym w Warszawie w lutym–maju 2017 r., a wy-



Prospekt reklamowy pensjonatu Jadwiga.

dawnictwo Taschen wydało w tym samym roku ekskluzywną, limitowaną edycję albumu prezentującego zbiory.

Tym akcentem kończy się opowieść o niezwykłej rodzinie, ich losach i pasjach dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, ludziach, którzy zgromadzili imponujące zbiory zawierające skarby dziedzictwa kulturowego. Pozostaje jednak mieć nadzieję, że to nie koniec. Wszak Jerzy ma syna...

Materiały tekstowe pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Leskowicza.



Fragment księgozbioru Jerzego Leskowicza.

Michał Piekarski

Śp. Helena Dunicz-Niwińska, lwowianka z Placu Mariackiego, obozowa skrzypaczka, krakowska redaktor muzyczna

Kilka lat temu, mógł to być rok 2013, miałem przyjemność poznać Panią Helenę Dunicz-Niwińską. Znajomość zawdzięczałem profesorowi Zygmuntowi Szweykowskiemu z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który opowiadał mi kiedyś o swoich relacjach z prof. Adolfem Chybińskim (o którym pisałem wtedy pracę doktorską). Podczas rozmowy profesor wspominał mi o Pani Helenie, która wiele pamiętała z przedwojennego życia muzycznego Lwowa i jednocześnie była siostrą Jana Józefa Dunicza – najmłodszego przedwojennego asystenta profesora Chybińskiego w Zakładzie Muzykologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Pani Helena z właściwym dla lwowian ciepłem podjęła mnie w swoim krakowskim mieszkaniu herbatą i ciasteczkami, przy których z ogromnym zainteresowaniem słuchałem o jakże dramatycznych losach tej znamienitej polskiej rodziny.

Rodzina Duniczów należała do zasiedlonego lwowskiego mieszczaństwa. Ojciec Jana Józefa i Heleny oraz Bolesława – Józef Dunicz – był pracownikiem Galicyjskiej Izby Skarbowej we Lwowie. Należał też do komitetu budowy kościoła pw. Matki Boskiej Ostrobramskiej na Górnym Łyczakowie. Józef Dunicz posiadał własny dom na Łyczakowie (wówczas parafia św. Antoniego), który został sprzedany w 1929 r. Odtąd do 1943 r. Duniczowie mieszkali w śródmieściu przy Placu Mariackim 10 na II piętrze. Z kamienicy tej widoczny był pomnik Adama Mickiewicza (budynek nie istnieje od lat. 90. XX w., kiedy uległ dewastacji i zawaleniu). Mimo że ojciec nie grał na żadnym instrumencie, dbał o edukację muzyczną swoich trojga dzieci – Jana, Bolesława i Heleny, zapewniając im wykształcenie w Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, gdzie wszyscy ukończyli klasę skrzypiec. Często muzykowali w domu, tworząc nieformalne skrzypcowe „Trio Duniczów”.

Jan Józef Dunicz (ur. 1910 we Lwowie, zm. 1945 w obozie w Dorze k. Nordhausen) uzyskał na UJK wszechstronne wykształcenie. Obronił dwie prace magisterskie – z muzykologii w 1932 r. (*Polonez jako forma muzyki ludowej polskiej XIX wieku*) i polonistyki w 1933 r. (*Muzyka i taniec w poezji Wacława Potockiego*). W 1937 r. uzyskał następnie doktorat z muzykologii na podstawie pracy *Adam Jarzębski i jego Canzoni et Concerti z r. 1627*. W latach 1934–1939 pełnił obowiązki asystenta w Zakładzie Muzykologii UJK. W 1939 r. przeprowadził się do Warszawy, gdzie (nie bez poparcia Adolfa Chybińskiego) otrzymał posadę w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jan Józef Dunicz był jednym z najzdolniejszych polskich muzykologów młodego pokolenia działającego w latach 30. Należał też do bezpośrednich kontynuatorów badań zapoczątkowanych przez swojego profesora, współtworząc „szkołę Adolfa Chybińskiego”. Do jej zadań należały pogłębione prace nad dziejami dawnej muzyki polskiej. Ponadto do zainteresowań badawczych Dunicza należały dzieje muzyczne jego rodzinnego miasta (w czym był w niemałym stopniu prekursorem). Przygo-



Helena Dunicz-Niwińska

towywał się do napisania szeroko zakrojonej pracy poświęconej historii opery we Lwowie poczynawszy od końca XVIII w. do pocz. XX w. (nie została ona jednak ukończona). Jedyłą opublikowaną pracą na ten temat pozostaje artykuł *Premiery oper Belliniego we Lwowie* (Lwów 1935). Wszystkie prace przezwane zostały aresztowaniem Jana Józefa Dunicza przez Niemców. Podczas II wojny zaangażował się on w działalność konspiracyjną w Warszawie. Helena Dunicz-Niwińska wspominała: „Jako rzetelny konspirator nie ujawniał nam żadnych szczegółów swej działalności”. Wiadomo jedynie (jako że wiedział o tym Chybiński), że Dunicz podczas okupacji hitlerowskiej przewoził z Warszawy do Lwowa i z powrotem różnego rodzaju „bibułę”, także muzyczną (np. opracowania pieśni partyzanckich pisane przez lwowskich kompozytorów). Podczas okupacji Dunicz pojawił się we Lwowie 2 lub 3 razy, ostatni raz na przełomie lat 1942 i 1943.

Wtedy właśnie rodzina Duniczów widziała się po raz ostatni i to już w pomniejszonym składzie (Bolesław Dunicz w 1939 r. przedostał się na Zachód, ojciec zmarł we Lwowie w 1940 r.). Było to zarazem ostatnie spotkanie pani Helena z jej bratem Janem Józefem.

Helena Dunicz przysłała na świat w 1915 r. w Wiedniu, gdzie podczas I wojny światowej schronienie znalazło wielu lwowian obawiających się ataku armii rosyjskiej. Dzieciństwo i młodość spędziła we Lwowie – na Łyczakowie, a od 1929 r. w śródmieściu, przy jednym z najważniejszych placów miasta. Podobnie jak jej bracia uczęszczała do klasy skrzypiec Konserwatorium PTM we Lwowie, gdzie doszła aż do kursu wyższego, który ukończyła w latach 30. (edukacja muzyczna w ramach jednej szkoły podzielona była na kursy: niższy, średni i wyższy). Równocześnie uczęszczała do Gimnazjum im. Królowej Jadwigi.

Wyższą edukację uzyskała w zakresie pedagogiki na UJK (1934–1939).

W styczniu 1943 r. gestapo aresztowało Helenę wraz z matką. Powodem było odnajmowanie jednego pokoju w ich mieszkaniu polskim działaczom konspiracyjnym. Obie, po aresztowaniu i przewiezieniu na Łąckiego, zostały osadzone w Auschwitz-Birkenau, gdzie matka Heleny zmarła. Helena Dunicz zaś zdołała przeżyć, grając w orkiestrze



obozowej. W swoich wstrząsających i zarazem wyjątkowo zajmujących wspomnieniach (H. Dunicz-Niwińska, *Drogi mojego życia. Wspomnienia skrzypaczki z Birkenau*, Oświęcim 2013) opisała, jak umiejętność gry na skrzypcach uratowała ją od śmierci. W obozie spotkała Almę Rosé, austriaczką skrzypaczkę żydowskiego pochodzenia, w latach 40. dyrygentkę obozowej orkiestry i jednocześnie kapo komanda kapeli w Birkenau. Kilkanaście lat wcześniej Helena Dunicz była na jej koncercie w Lwowskiej Filharmonii (do czego wołała się wówczas nie przyznawać). O pierwszym bezpośrednim spotkaniu pisała: „Krótko zapytała o moje umiejętności muzyczne. [...] Bez słów położyła na pulpicie nuty, podała mi skrzypce. Zaczęłam grać swój egzamin o życie [...]”. Dalej relacjonowała: „Usłyszałam, że jestem przyjęta do obozowej orkiestry”. Kapela kobieca w Birkenau powstała w 1943 r. (pierwszą męską orkiestrę zorganizowano na przełomie lat 1940 i 1941). Miała grać marsze wychodzącym do pracy na zewnątrz ścisłego obozu i powracającym komandom roboczym. Helena Dunicz zajęła miejsce za pulpitem I skrzypiec. W orkiestrze tej nawiązała przyjaźń z inną skrzypaczką – Jadwigą Zatorską.

Helena Dunicz tak zapamiętała te przeżające lata: „Grana przez nas muzyka miała w sobie coś piekielnego. Szybko zaczęliśmy zdawać sobie z tego sprawę, więc przeżywałyśmy dylematy moralne i rozterki duchowe, czy powinnyśmy grać czy nie [...]”.

Po wojnie Helena Dunicz nie miała już możliwości powrotu do domu we Lwowie wchłoniętym przez Ukraińską SRR. Jak to określiła: „bo moje rodzinne miasto –

Lwów, było przede mną zamknięte”. Wraz z Jadwigą Zatorską znalazła się w Krakowie. Niedługo po wojnie przechodziła ul. Basztową, gdzie w ówczesnej siedzibie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego chciała uzyskać informacje na temat poszukiwanego przez nią brata Jana Józefa (nie wiedziała jeszcze wtedy, że zginął w obozie). Od razu jej osobą zainteresował się ówczesny dyrektor PWM Tadeusz Ochlewski, znający dobrze Jej brata przed wojną. Wkrótce rozpoczęła się trwająca 30 lat praca Heleny Dunicz w PWM (1945–1975), gdzie w latach 1945–1952 obejmowała stanowisko kierownika Działu Wydawnictw Drukowanych. Pracę w powojennym Krakowie Helena Dunicz wspominała tak: „Kiedy patrzę wstecz, zwłaszcza na początki Wydawnictwa na Basztowej, to myślę, że PWM było w pierwszych latach powojennych głównym ośrodkiem muzycznym w Polsce. Tu osiadło wielu muzyków, jak na przykład Dubiska, Wiłkomirski dojeżdżali z Łodzi, jeszcze inni z Warszawy. Było wiele osób ze Lwowa, które musiały tak jak ja, szukać pracy w «zachodniej» Polsce”. Na temat życia towarzyskiego dodawała: „Dyrektor organizował co jakiś czas na Basztowej wieczorki przy świecach. Grała tam młodziutka Wanda Wiłkomirska, Gałczyński recytował swoje wiersze, nastrój był prawdziwie rodzinny” (*Odeszła Helena Dunicz-Niwińska*, informacja ze strony PWM).

Dla mnie niezapomniane pozostaje spotkanie ze śp. Panią Heleną, podczas którego mogłem tyle dowiedzieć się zarówno o Jej wstrząsających losach, jak i Jej brata. Mimo tego Pani Helena zachowała niebywałą pogodę ducha. Przyjęła mnie w tak ciepły sposób, że miałem wrażenie, jakbyśmy znali się od dawna. Zresztą już podczas wcześniejszej rozmowy telefonicznej, dowiadując się o moich lwowskich korzeniach, Pani Helena od razu zaczęła traktować mnie jak kogoś znajomego.

Co warto dodać, po raz pierwszy telefonowałem do Pani Heleny właśnie ze Lwowa, na tydzień przed naszym spotkaniem w Krakowie, co jeszcze bardziej nas zbliżyło. Podczas mojej wizyty ucieszyła się też ogromnie, że w mojej pracy doktorskiej



Lwów ok. 1939 r. Plac Mariacki z widoczną kamienicą nr 10 (pierwsza od prawej, Biblioteka Narodowa, Polona)

(wydana została w 2017 r. jako książka pt. *Przerwany kontrapunkt*) chcę należne miejsce poświęcić Jej bratu, do tamtej pory postaci niemal całkowicie zapomnianej.

Lwów wciąż pozostawał w sercu Pani Heleny – to odczuwało się na każdym kroku (choć w Krakowie przebywała od ponad 70 lat, nie miało to tak wielkiego znaczenia). Miasto, w którym od pokoleń mieszkała rodzina Duniczów, a sama Pani Helena spędziła najpiękniejsze 20 lat swego życia, wciąż powracało w Jej wspomnieniach. Podczas spotkania w Krakowie poczułem też, że jestem znów we Lwowie, ale już nie tym współczesnym, a znanym pokoleniu moich dziadków. Ciepło i gościnność właściciwe dla lwowian były nieodłącznymi cechami Pani Heleny. Była osobą jednocześnie ogromnie skromną i pełną rzadko dziś spotykanej godności (która nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek chłodem). Taką też śp. Panią Helenę będę zawsze pamiętał. Wiadomość o śmierci Pani Heleny dotarła do mnie, gdy w czerwcu tego roku przebywałem na stypendium w Wiedniu, mieście Jej urodzenia...

Śp. Helena Dunicz-Niwińska zmarła w Krakowie 12 czerwca 2018 r., przeżywszy 102 lata. Spoczywa na cmentarzu Rakowickim (kwatery LXX, rz. 57) razem z innymi muzycznymi lwowianami, jak Bolesław Wallek-Walewski, Zdzisław Jachimecki czy Helena z Rogalskich Windakiewiczowa, przypominając o tym, jak wiele kultura muzyczna Krakowa zawdzięcza osobom z „najmuzykalniejszego z polskich miast”.

Adam Macedoński

Relikwie rodzinne archeologa

– opowieść Stanisława Buratyńskiego



Rodzina Karpiaków

W pierwszej połowie lat 90. ubiegłego wieku zawiadomiono mnie, że chce się ze mną spotkać w ważnej sprawie dr Stanisław Buratyński¹. Już w czasie moich studiów był bardzo znanym w Krakowie archeologiem, odkrywcą m.in. stanowisk celtyckich na wschodnich obrzeżach Krakowa, tam gdzie teraz jest Nowa Huta. Zgłosiłem się do niego natychmiast. Jego wnuczka, po sprawdzeniu kim jestem, zostawiła nas samych. Stanisław Buratyński był już bardzo wiekowym człowiekiem. Z koperty wyciągnął dwie pożółkłe fotografie. Nie były opisane. Na moją prośbę sięgnął po ołówek i opisał je. Dzięki naszemu spotkaniu te dwie fotografie przestały być anonimowe. Pierwsza przedstawiała rodzinę rolników ustawioną do uroczystego zdjęcia, wykonanego zapewne w lecie. Na odwrocie fotografii dr Buratyński napisał: *Fot. 1938. Rodzina Stanisława Karpiaka, syna siostry babci dr. Stanisława Buratyńskiego, Anny ze*

Stankiewiczów Buratyńskiej, zamordowana 14 XII 1943 r. Stanisław Buratyński.

Druągą fotografią, wykonaną kilka lat później, zatrzymała w kadrze dramat rodzinny – przedstawiała kilka ciał ludzkich, w tym dwoje małych dzieci, ułożonych na marach, przykrytych zdobną narzutą. Nad ciałami stoją trzy osoby; dwie kobiety i mężczyzna. Drżącą ręką dr Stanisław Buratyński opisywał fotografię: *Wieś Łatacz, pow. Zaleszczyki, woj. Tarnopol. Rodzina Stanisława Karpiaka, syna siostry babki dr. Stanisława Buratyńskiego, Anny ze Stankiewiczów Buratyńskiej – zamordowana 14 grudnia 1943 r. ok. godz. 18.30 przez Ukraińców (banderowców). Zamordowani: Maria z Wakulińskich Karpiakowa, żona Stanisława Karpiaka*, lat 42 i ich dzieci: syn Józef lat 23, córka Genowefa zamężna Czernicka lat 20, syn Władysław lat 18, córka Zofia lat 8, syn Zygmunt lat 6. Poniżej dopisał, wyjaśniając przypis przy nazwisku ojca rodziny: *ojciec*



¹ Dr Stanisław Buratyński, urodzony 3 maja 1908 roku we wsi Kolanki koło Stanisławowa, był znanym i cenionym w Krakowie historykiem i archeologiem. Prace badawcze prowadził przede wszystkim na terenie Nowej Huty. W latach 1954–1981 kierował Oddziałem Nowohuckim Muzeum Archeologicznego w Krakowie. Zmarł 28 grudnia 1994 roku w Krakowie.

zamordowanych Stanisław Karpiak zmarł w 1990 r. w Olsztynie. Dr Stanisław Buratyński wyjaśnił, że to są jego bliscy krewni, rolnicy ze wsi Łatacz na Podolu, położonej blisko Zaleszczyk. Zamordowani zostali przez Ukraińców w grudniu 1943 roku w czasie ukraińskiej rzezi Polaków na terytorium



południowo-wschodniej okupowanej Polski. Opowiedział też kilka wstrząsających faktów dotyczących bestialstwa ukraińskiego.

W tej polskiej wsi mieszkali też rodziny mieszane polsko-ukraińskie. „Było takie małżeństwo – opowiadał dr Buratyński – on Ukrainiec, ona Polka. Podczas rzezi Polaków ukraińscy rezuni oszczędzili ich, ale

nakazali mężowi własnoręcznie zabić żonę Polkę. To było bardzo kochające się małżeństwo. On tego rozkazu nie wykonał. Upowcy odczekali kilka miesięcy. W lecie 1944 roku, w czasie wielkich wtedy upałów, wywlekli to ukraińsko-polskie małżeństwo z domu. Rozebrali ich do naga i przytulonych do siebie, obwiązali drutem kolczastym, który wbił się w ich ciała. Pocięła krew, zasychając na słońcu. Nikomu nie wolno było,

pod karą podobnej śmierci, zbliżyć się do torturowanych. Małżeństwo w wielkich męczarniach, z ogromnym wysiłkiem stało na prażącym słońcu. W końcu, torturowani, padli na ziemię powiększając swoją mękę. Umierali w wielkich męczarniach, obserwowani z dala przez ludzi przez kilka dni. Nikt nie zdobył się na odwagę, by im pomóc”.

Na marginesie

Lwowska medycyna

Ile to już lat minęło od czasu koncertowego tournée po Kresach z kultowym polskim zespołem Stare Dobre Małżeństwo? Ostatni koncert odbywał się we Lwowie w sali Teatru Lalkowego. Zastanawiałem się, kto przyjdzie? Młodzież ukraińska przecież nie zna zespołu śpiewającego poezje Edwarda Stachury, Józefa Barana czy Adama Ziemiannina... Sala była pełna, a widzowie śpiewali hity lidera SDM Krzysztofa Myszkowskiego... Nie dawałem wiary! Dopiero po koncercie dowiedziałem się, że widzowie, to młodzi Polacy, studenci głównie medycyny, ale byli też z jakichś politechnicznych kierunków również. A więc medycyna we Lwowie! Rozmawiałem z paroma osobami. Mówili, że nie dostali się w Polskę na wybrany kierunek, skoro mogli podjąć studia w sąsiednim kraju – zaryzykowali, by nie tracić roku... W końcu obcokrajowcy studiują odpłatnie w Polsce, to dlaczego Polacy mieliby nie pobierać medycznych nauk poza Polską? Wprawdzie odpłatnie, ale ok. 3500 dolarów za rok nauki to czy aż tak dużo? Dochodzą bonusy – zajęcia odbywają się po angielsku

(nieco taniej po rosyjsku i ukraińsku), no a przy okazji – chcą czy nie chcą – poznają język ukraiński. Niektórzy mówili, że po semestrze będą rozpoczynać procedurę przeniesienia się na polską uczelnię. Wielu jednak po skończeniu pierwszego roku nauki doceniło poziom nauczania medycyny we Lwowie. Okazało się bowiem, że jednak trzeba się uczyć, zdawać egzaminy, odbywać ćwiczenia i praktyki w międzynarodowym towarzystwie. Padają szybko mity o słodkim *dolce far niente*, o kupowaniu egzaminów, o niskim poziomie studiów... Może tak kiedyś było? Obecnie za prawdziwe pieniądze sprzedaje się prawdziwą wiedzę. Tak twierdzą polscy absolwenci uczelni medycznych we Lwowie i Kijowie. Po studiach oczywiście praktyki w szpitalach, egzaminy – zanim podejmie się samodzielną praktykę lekarską, no i dodatkowo nostryfikacja dyplomów, jednak posługującego się kilkoma językami absolwenta medycyny czy stomatologii. A poza tym dobrego lekarza poznajemy nie po dyplomie, a po skuteczności leczenia. A jeśli przy okazji wizyty u lekarza możemy o Lwowie porozmawiać, to i cukier i ciśnienie się same stabilizują. O czym zaświadcza

Wasz nieustający Hipochondryk

Paweł Brzegowy

Lwowianka w Krakowie

Pani doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Małańczyc – tegoroczna laureatka międzynarodowej nagrody zaufania Złoty Otis, wcześniej wyróżniona odznaką honorową „Zasłużony dla kultury polskiej” i Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, przynależy niewątpliwie do grona najbardziej znanych polskich lwowianek. Od wielu lat jest prezesem Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie oraz kieruje Lwowskim Uniwersytetem Trzeciego

Wiek (LUTW). Z końcem czerwca br. goszcząc w Krakowie na konferencji naukowej „Postępy krakowskiej hematologii” prezentującej osiągnięcia Katedry i Kliniki Hematologii Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum oraz jubileuszu wybitnego męża medycyny prof. dr. hab. n. med. Aleksandra Bartłomieja Skotnickiego, odwiedziła również Ogród Botaniczny UJ oraz Instytut Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej, gdzie spotkała się z wicedyrektorem ds. nauki i współpracy zagranicznej dr. hab. Jackiem Szymańdą, prof. UP. Pobyt w Krakowie był także okazją do dłuższej rozmowy z Andrzejem Osiniakiem – dyrektorem Ośrodka Rehabilitacji Narządu Ruchu „Krzeszowice” SPZOZ i redaktorem naczelnym „Cracovia–Leopolis”, Januszem Paluchem.

Dnia szóstego września br. pani profesor wzięła udział w XXVIII Forum Ekonomicznym w Krynicy-Zdroju uczestnicząc wraz

z członkiem zarządu LUTW, Marianem Frużyńskim w X Forum Trzeciego Wiek w panelach „Aktywność obywatelska osób starszych, szanse, wyzwania, bariery” i „Srebrna gospodarka. Innowacja dla seniora – inteligentny rozwój”. Następnego dnia lwowscy goście w nowosądeckim Miasteczku Galicyjskim pojawili się na ogólnopolskiej konferencji „Forum bezpiecznego seniora” oraz warsztatach.

Pomimo licznych obowiązków zawodowych i rodzinnych oraz działalności społecznej, której pani profesor oddaje się z pasją, a przejawiającej się m.in. świadczeniem bezpłatnej pomocy medycznej, w listopadzie 2017 r. odpowiadała za przygotowanie obchodów jubileuszu 150-lecia Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego, które zgromadziły około 800 osób, zaś w dniach 19–20 X br. z upoważnienia Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL) – celebrującego trzydziestą rocznicę założenia, organizuje okazjonalną konferencję „Lwów w historii i kulturze polskiej” z uro-



czystą galą w Operze (Lwowskim Narodowym Akademickim Teatrze Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej). Rzeczone wydarzenie jest kolejną odsłoną aktywności TKPZL w celu podtrzymywania polskich korzeni Lwowa. Mając na uwadze szlachetny charakter pani profesor i jej autentyczne oddanie dla Polaków mieszkających we Lwowie, życzymy wszelkiej pomyślności w podejmowaniu kolejnych inicjatyw.

Teżknota za białym dworkiem.

Zapomniane wiersze Stanisława Maykowskiego.

Stanisław Maykowski (1880–1961), oświęcimianin z urodzenia, lwowianin z wyboru, w ostatnich latach życia, za sprawą powojennej rzeczywistości – krakowianin. Nazwisko znane już dziś tylko historykom literatury, zdecydowanie wymaga przypomnienia.

Był absolwentem polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczniem wielkiego Stanisława Tarnowskiego. Po zakończeniu studiów podjął pracę jako nauczyciel szkół średnich. Wadowice, Nowy Sącz, Lwów, Stanisławów i ponownie Lwów, gdzie nauczał w sławnych gimnazjach: VI i V, ale też w innych państwowych i prywatnych szkołach. Był nauczycielem surowym – ale też lubianym, a jego kolega, Zegadłowicz, sportretował go w *Zmorach* jako jedną z niewielu sympatycznych nauczycielskich sylwetek.

Rościława Skręt, autor biogramu Maykowskiego w Polskim Słowniku Biograficznym, szczegółowo omawia jego bogatą działalność jako autora tekstów krytycznoliterackich, recenzji, utworów dla dzieci, czytanek i podręczników. Był jednak Maykowski także poetą: jego utwór *Ojciec nasz*, opublikowany w 1914 r. w „Gazecie Porannej i Wieczornej”, wywołał burzę: autor oskarżony został o bluźnierstwo i na pewien czas zawieszony w prawach nauczyciela... Pisać jednak nie zamierzał przestać.

Współpracował z prasą lwowską (głównie ze „Słowem Polskim”), ale też z „Krytyką”, „Sfinksem”, „Lamusem”, „Skamandrem” i „Tygodnikiem Literackim”. To na ich łamach odnajdziemy jego wiersze, bajki groteski. Rozproszone – bo też Maykowski konsekwentnie przez całe życie wzbraniał się przed ich publikacją w formie książkowej.

W 1939 r. na własne życzenie przeszedł na emeryturę. Wojnę przeżył w Brzuchowicach, gdzie był dyrektorem tajnego gimnazjum. Po ekspatriacji w 1946 r. zamieszkał najpierw w Ząbkowicach Śląskich, a od

1948 r. w Krakowie. W szkolnictwie pracował do 1950 r.

Na wiersze Stanisława Maykowskiego natrafiałam wielokrotnie w „Słowie Polskim”, poszukując utworów Jana Zahradnika. Podobał mi się ich młodopolski klimat, fantastyczne obrazy, stylizacje i groteski. Niektóre z nich zgoła nie przystawały do nasuwającego się wizerunku surowego belfra w sztywnym kołnierzyku: były to zwłaszcza bliskie erotykom wiersze o kobietach, w tym utwór *Cienie*: autor opisuje, jak równocześnie odwiedzają go wspomnienia wszystkich jego ukochanych, tych prawdziwych i tych wymarzonych: „cud stał się we mnie, jak w werońskiej trumnie: ożyło naraz Julij sto tysięcy”.

Zamieszczane w prasie wiersze są fragmentami większych cyklów: *Polska, Groteski, Kobiety, Prowincja, Melancholia*. Z tego właśnie cyklu chciałabym przypomnieć dziś cztery sonety. Ich bohaterem jest biały dworek z serdecznie opisanym otoczeniem: podworcem, nad którym czuwa figura Chrystusa, zabudowaniami gospodarskimi, ogniem na kominku, portretami dam i szlachciców z minionej epoki, zegarem z figurynkami, lipą, w której cieniu można odpocząć, ba – nawet z dworskim stawem i żabami, których rechot staje się odzwierciedleniem pogawędek sprzed wielu lat.

Są w tych wierszach echa Kochanowskiego i Mickiewicza, a ich melancholia wzrusza, tym bardziej że choć publikowane w 1920 r., opisują zagrożenia niesione przez „żarłoczny” czas i naszą niepamięć. Mieszkający we Lwowie Maykowski dobrze znał wydarzenia wojenne i „burzę od Wschodu”, która przyniosła zagładę tak wielu pałacom, dworom i dworkom, zagładę opisywaną choćby przez Zofię Kossak czy Marię Dunin-Kozicką. Nie mógł nawet przeczuwać kolejnej fali zagłady, jaka czekała owe „białe dworki” na ziemiach polskich w wyniku II wojny.

Stanisław Maykowski

W POŁUDNIE

Dwór śpi. Posnęły płoty, słoneczniki, drzewa,
Sen zmorzył w rdzę ubraną, od lat wyschłą studnię.
Nawet wjazdowa brama, wszere otwarta, ziewa
I ty nad nią śpisz, w modrym żupanie południe.

A pod sadem spuścistym pacholik rozlewa
Miód do szklenic, od słońca pałających złudnie
I gospodarz – domowa na nim przyodziewa –
Bawi gości łąciną i wraz z nimi chłodnie.

O śmiechu tych twarzy, z blasku tkany! Wiek cię
Tu już nie ma. O gęsty i płynny afekcie
Tych serc! O szmerze pszczoły, co na dzbanie siedzi.

Zamieniona w złotego z przeszłością rozmówcę!
O snów moich przeszłością rozskrzydlone hufce!
O ludzie, ze snów znani: duszy mej sąsiedzi!

„Słowo Polskie”, 1920, nr 491, s. 1–2.

NIECH PRZEDE MNĄ

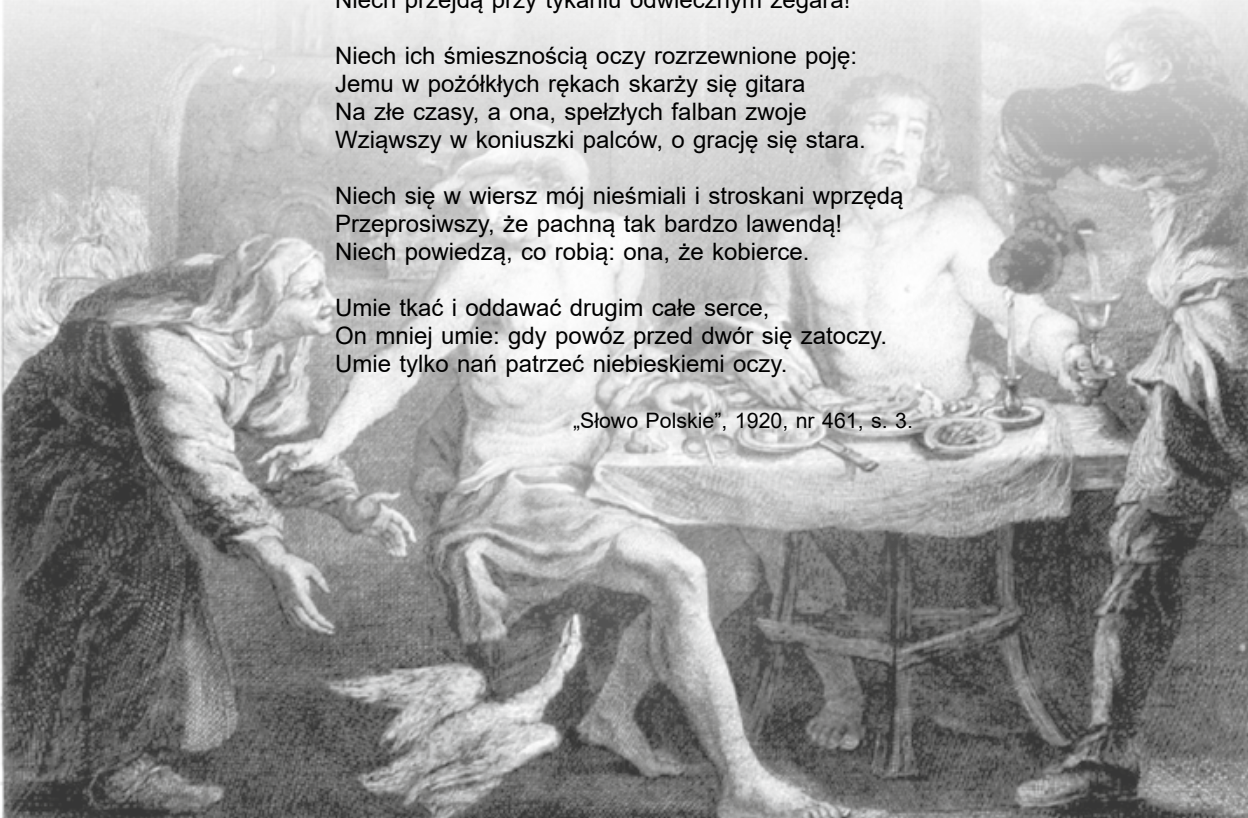
Niech przede mną raz jeszcze przez zmierzchłe pokoje
Przejdzie krokiem cichnącym ta cudowna para:
Filemon i Baucyda, lecz z Polski oboje.
Niech przejdą przy tykaniu odwiecznym zegara!

Niech ich śmiesznością oczy rozrzewnione poję:
Jemu w poźółkłych rękach skarży się gitara
Na złe czasy, a ona, spelzłych falban zwoje
Wziąwszy w koniuszki palców, o grację się stara.

Niech się w wiersz mój nieśmiali i stroskani wprzędą
Przeprosiwszy, że pachną tak bardzo lawendą!
Niech powiedzą, co robią: ona, że kobierce.

Umie tkąć i oddawać drugim całe serce,
On mniej umie: gdy powóz przed dwór się zatoczy.
Umie tylko nań patrzeć niebieskimi oczy.

„Słowo Polskie”, 1920, nr 461, s. 3.



KONTERFEKT

Na cześć twoją, piękności w białej, sztywnej robie,
Z pod której atlasowy korek martwo świeci,
Klęknę i na madrygał moje sny przerobię
I dam im smak rubaszny umarłych stuleci.

Ciesz-że się jejmość pani! Toć mam ręce obie
Pełne darów: słów spelzłych, jedwabnych rupieci.
Toć twym śmiechem, jak winem, w snach podpiszysy sobie,
Strzał z pistoletu w korek, jak wyznanie, szlę ci.

Rozsznuruj dumne usta i suknią zaszeleść
I puść mnie do alkowy lub zwól oknem przeleźć!
Marszczy waćpani brewki i oczy przymrza

Wzgardliwie, a w ramiona, wiem, że sama szła by.
Jako żywo! Rumieniec on cię wydał słaby.
Co krasz swój konterfekt jako późna róża.

„Słowo Polskie”, 1920, nr 491, s. 1–2.

OSTATNI BIAŁY DWORKU...

Ostatni biały dworek! I ty, co na grzędzie
Płaczesz zapachem, różo! Wy kochani moi!
Wy, których może kiedyś tu całkiem nie będzie!
I ty jeszcze, poezjo splewiałych pokoi!

Kto te wstęgi zachodu ponad wami przędzie
I kto w nie na śmierć cichą tak cudnie was stroi
I kto mówi me wiersze, co tak idą w rzędzie,
Jak dzieci do cmentarnych wiedzione podwoi?

Więc niby to was żegnam ale sam odchodzę,
A ze mną idzie wieczór, co czeka na drodze
I to psów ujadanie, którym serce sycę

Codziennie i świecące pośród lip księżycy
I pozdrowienia ludzi od tych blasków złote
I moje własne słowa, z których hymn ten plotę.

„Słowo Polskie”, 1920, nr 461, s. 3.



Anna Woźniakowska

Muzyczny spacer po Lwowie

Michał Piekarski, muzykolog, adiunkt w Instytucie Historii Nauki PAN, ma lwowskie korzenie, o których dobrze pamięta. Świadczy o tym napisana przez niego książka zatytułowana „Muzyka we Lwowie. Od Mozarta do Majerskiego. Kompozytorzy, muzycy, instytucje.”, która ukazała się w 2018 roku nakładem Wydawnictwa Akademickiego SEDNO. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że to praca wyjątkowa, przede wszystkim dlatego, że jej temat jest niecodzienny, dotyczy miasta wyróżniającego się bogactwem, wielokulturowością i prężnością na ziemiach polskich w czasach I Rzeczypospolitej, pod zaborami, wreszcie w dwudziestoleciu międzywojennym.

Dziś jeszcze źródeł żywego życia naukowego i kulturalnego Wrocławia szuka się właśnie we Lwowie, bo w dużej mierze to nad Odrą jego mieszkańcy po II wojnie światowej znaleźli nowy dom. Niecodzienna jest też forma, jaką autor nadał swojej pracy. Oto bowiem opisując „kompozytorów, muzyków, instytucje” podaje konkretne adresy, tworzy swoisty przewodnik po mieście i jego muzyce. Mając książkę Michała Piekarskiego w ręku można wędrować ulicami Lwowa poznając zarówno zabytki umieszczane zazwyczaj w różnego rodzaju bedekerach, jak i miejsca, których próżno w nich szukać, a które warto poznać, bo tworzyły historię kultury nie tylko Lwowa, ale i Polski. Jest tych miejsc sześćdziesiąt cztery, a więc jeśli ktoś będzie zwiedzał Lwów szlakiem muzyki, sporo zobaczy.

Autor zaznacza we wstępie: „Książka dzieli się na dwie części. W pierwszej zarysowano dzieje muzyczne miasta od czasów najdawniejszych po II wojnę światową, ze szczególnym uwzględnieniem XIX wieku i okresu międzywojennego. (...) W drugiej części przedstawiono w porządku chronologicznym 44 biogramy wybranych postaci działających we Lwowie. (...) Oczywiście, lista ta w żaden sposób nie wyczerpuje liczby muzyków działających w mieście, przedstawia najważniejsze postaci”.

Wbrew podtytułowi pierwszy biogram nie dotyczy Mozarta, lecz Józefa Elsnera,



który przyjechawszy do Lwowa z Brna przez siedem lat współpracował w tamtejszych teatrach z Wojciechem Bogusławskim, potem wraz z nim przeniósł się do Warszawy i stał się pierwszą postacią polskiej muzyki jako kompozytor oraz twórca Szkoły Głównej Muzyki przy Uniwersytecie Warszawskim. Także ostatni biogram to nie życiorys Majerskiego, lecz Romana Palestra – wybitnego polskiego kompozytora zmarłego w 1989 roku. Palester mieszkał w młodości we Lwowie zaledwie kilka lat, ale był to okres w jego życiu znaczący na tyle, że po latach pisał: „Zawdzięczam temu miasto dość wiele. (...) Wszystko co wiem o fortepianie, wszystko co dla tego instrumentu napisałem, powstało na bazie lwowskiej nauki”.

A tytułowi Mozart i Majerski? Pierwszy to syn Wolfganga Amadeusa – Franz Xavier Wolfgang, który we Lwowie spędził 26 lat, był uznanym pianistą pedagogiem, założycielem lwowskiego Towarzystwa św. Cecylii i utalentowanym kompozytorem zwanym – dla odróżnienia od ojca – Lwowskim Mo-

zartem. Notabene w ostatnich latach jego utwory rozbrzmiewały pod Wawelem w czasie festiwalu „Muzyka w Starym Krakowie“, prezentowane przez orkiestrę Wirtuozii Lwowa pod dyrekcją Sierhija Burko.

Drugi – młodszy o niemal sto lat Tadeusz Majerski – był jednym z pierwszych polskich dodekafonistów. Dziś mało kto o nim pamięta. Przyćmił go bardziej utalentowany Józef Koffler, którego biogram także znajdziemy w książce Michała Piekarskiego.

Wśród przedstawianych przez Michała Piekarskiego osób są Niemcy i Czesi, Ormianie, Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Bo – jak pisze autor – „wiele osób o niepolskich korzeniach zasymilowało się we Lwowie z kulturą polską nie tylko w okresie międzywojennym, ale już w XIX wieku“. Ta mieszanina krwi, temperamentów, tradycji, obyczajów stworzyła jedyną swego rodzaju aurę, sprawiającą, że na początku XX wieku nazywano Lwów najmuzykalniejszym z polskich miast. Działały w nim mnogie instytucje muzyczne, profesjonalne i amatorskie (każda nacja miała swoje). W równie licznych szkołach różnych szczebli kształciły się setki przyszłych muzyków i melomanów. Mawiano, że trzy czwarte polskich śpiewaków i śpiewaczek pochodziło z tego właśnie miasta. Tam odbywały się prawykonania oper Żeleńskiego i Paderewskiego, tam gościli Gustaw Mahler i Richard Strauss. Tam rodziła się polska muzykologia.

Książka Michała Piekarskiego jest cenną pozycją nie tylko dla muzykologów i historyków kultury. Może uczyć i bawić każdego czytelnika. Napisana językiem przystępnym, wzbogacona jest o liczne fotografie (także z domowego archiwum) i... dawne anonse reklamowe dające posmak zróżnicowanej lwowskiej codzienności. Bogata bibliografia, spis muzyków spoczywających na Cmentarzu Łyczakowskim, zdjęcia ich nagrobków, spis adresów, a nawet plan miasta z zaznaczeniem opisywanych miejsc dopełniają jakże interesującej całości.

Piekarski Michał, *Muzyka we Lwowie. Od Mozarta do Majerskiego. Kompozytorzy, muzyki, instytucje*, Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2018

Klub „Pod Gruszką”

Powakacyjne spotkania członków i sympatyków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbywały się jak zwykle w pierwszy wtorek miesiąca.

◆ 4 września spotkanie nasze było szczególnie uroczyste. Bogdan Kasprowicz przygotował dla nas piękny wieczór poświęcony szczególnie działalności Instytutu Lwowskiego, który nie tak dawno obchodził 25-lecie swego istnienia, niezmiennie kierowanego przez Janusza Wasylkowskiego przy współpracy m.in. Bogdana S. Kasprowicza. Przed rozpoczęciem spotkania pan Bogdan rozwiesił wokół Sali Baltazara Fontany pięknie wykonane plansze, które obrazują historię Instytutu Lwowskiego, jego działalność, publikacje, w tym Roczniki Lwowskie, działalność artystyczną, słowem bogactwo tematów i ilustracji. Z jubileuszem 25-lecia instytutu wiązało się wzruszające wydarzenie. Otóż jedną z osób aktywnie działających od chwili powstania instytutu prowadzonego przez Janusza Wasylkowskiego był Andrzej Chlipalski. Z okazji jubileuszu otrzymał me-



dal 25-lecia Instytutu Lwowskiego za zasługi w utrwalaniu pamięci Lwowa i jego kultury. Na awersie medalu jakże ważne słowa: „Semper Fidelis – Andrzejowi Chlipalskiemu – Obrona Lwowa trwa”. Ze względu na jego nieobecność, spowodowaną stanem zdrowia, Pan Kasprowicz przekazał medal wnukowi – Tadeuszowi, w obecności syna Karola. Było wzruszająco! I wreszcie – jak wiemy – Bogdan Kasprowicz, z pochodzenia Ormianin, pisze książki, piękne wiersze, dba o pamięć o naszym Lwowie. Ale także pisze książki o tematyce ormiańskiej; podczas spotkania zaprezentował ostatnio wydaną przez siebie pięknie ilustrowaną książkę: „My Ormianie Polscy”.

◆ 2 października naszym gościem był Wiesław Helak, autor książki „Nad Zbruczem”, reżyser filmowy, scenarzysta, ale przede wszystkim pisarz dotykający spraw trudnych, związanych z Kresami. Jego wszystkie książki mają charakter osobisty i są odzwierciedleniem zdarzeń, które miały miejsce w rzeczywistości. Dotąd ukazały się: „Lwowska noc”, „Scenariusze syberyjskie”, „Tryhubowa”, „Tchnienie”. Wielowątkowa akcja powieści toczy się na przełomie XIX i XX wieku, w latach 1890–1939, czyli w czasie gdy nastąpił zmierzch świata kresowego i upadek ziemianstwa. Interesująca rozmowa z autorem podczas spotkania, które prowadził Janusz Paluch (Biblioteka Kraków), dała wyraz temu, co przeżywa człowiek (autor), którego bliscy doświadczyli w owych czasach wiele złego. Trzeba podkreślić, że autor mówi i pisze pięknym polskim językiem, malując słowem treść książki.

Wiadomość z ostatniej chwili! Ponad miesiąc po naszym spotkaniu w listopadzie Wiesław Helak został laureatem Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za książkę „Nad Zbruczem”. W podziękowaniach na uroczystości wręczenia nagrody powiedział: „... dzieje własnej rodziny sprawiły, że napisałem taką książkę...”. Wieczór 6 listopada był niezwykły. Naszym gościem był dr Michał Piekarski, muzykolog, adiunkt w Instytucie Historii Nauki Polskiej Akademii

Nauk w Warszawie, autor pięknego, wartościowego historycznie opracowania „Muzyka we Lwowie. Od Mozarta do Majerskiego. Kompozytorzy, muzycy, instytucje”. Przy wypełnionej po brzegi Sali Fontany słuchaliśmy opowieści pana Michała ilustrowanej wieloma „obrazami” z muzycznego świata Lwowa, ale również ilustrowanej muzyką – nagrań arii solistów operowych, a także utworu fortepianowego w wykonaniu prelegenta. Tego wieczoru byliśmy na prawdziwej uczcie dla ducha, trudny dzisiejszy czas gdzieś odszedł...

◆ 4 grudnia naszym gościem był Jerzy Kapłon, dyrektor Centrum Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie. Opowiedział nam o Lwowie swoich dziadków i rodziców. Było na pewno „lwowsko” – fotografie, muzyka, a przede wszystkim serce Lwowa.

Na koniec tej i poprzedniej relacji pozwolę sobie na pewną refleksję. Zaproszenia na nasze spotkania chętnie przyjmują prelegenci, którzy są potomkami lwowian – choćby w ostatnim roku: Sławomir Zachariewicz (prawnik czołowego architekta Lwowa Juliana Oktawiana Zachariewicza), Michał Piekarski (wnuk profesora medycyny weterynaryjnej Remigiusza Węgrzynowicza) i Jerzy Kapłon, który będzie wspominał Lwów swoich dziadków i rodziców. Czekamy na następnych potomków...







Cześć Ich pamięci!

11 listopada na Cmentarzu Orłąt we Lwowie odbyły się uroczystości z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Zebrani odśpiewali *Rotę*, której słowa napisała spoczywająca na Cmentarzu Łyczakowskim Maria Konopnicka, a oficjalne delegacje złożyły wieńce i wiązanki kwiatów na płycie grobu Nieznanego Żołnierza. Uroczystościom przewodniczył Emil Legowicz, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Głos zabrała też Katarzyna

Solek – zastępca konsula generalnego RP we Lwowie.

Tegoroczne święto odzyskania niepodległości przez Polskę we Lwowie ma szczególny wymiar. Obchodzimy bowiem także setną rocznicę dramatycznej obrony Lwowa. Przeciw wyszkolonym żołnierzom ukraińskim 1 listopada 1918 roku w obronie polskość Lwowa wystąpiła młodzież i dzieci lwowskie. Przez 22 dni dzielnie walczyli, czekając odsieczy oddziałów polskich, które przybyły 22 listopada uwalniając Lwów od ukraińskich oddziałów wojskowych.

Tekst i fotografie: Anna Gordijewska



Barbara Olasińska

Krakowska kwesta na ratowanie polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie w dniu 1 listopada 2018 r

Tradycyjnie 1 listopada członkowie krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich kwestowali na cmentarzach: Rakowickim, Batowickim, Salwatorskim i Podgórskim. Kwestowano na odnawianie polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Za organizację kwesty na poszczególnych cmentarzach odpowiedzialni byli: Urszula Kogut, Edward Adles, Barbara Olasińska i Ryszard Radko.

W tegorocznej zbiórce pieniędzy wzięło udział 145 osób, w tym 108 uczniów ze szkół podstawowych i liceów. Zarząd TMLiKP-W wysłał do szkół apele o wzięcie udziału uczniów w kweście, podkreślając, jak wielkie ma znaczenie praca społeczna na tak szlachetny cel, jakim jest ratowanie polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Niejednokrotnie ci sami uczniowie brali udział po raz drugi, a nawet trzeci raz w zbiórce pieniędzy.

Kwestujący zaopatrzeni byli w transparent z herbem Lwowa, ulotki informujące o dokonaniach naszego Towarzystwa na Cmentarzu Łyczakowskim oraz w naklejki z herbem Lwowa i identyfikator potwierdzający tożsamość kwestującego, a także upoważnienie wydane przez TMLiKP-W do wykonywania tej działalności. Wśród kwestujących członków naszego towarzystwa wymienić należy m.in. panie Romę Żuk, Małgosię Mazur, Romę Krzemień, Grażynę Smoluchowską, Joasię Karolak, Teresę Wojciechowską – kwestującą w dniu swoich urodzin!

W kweście po raz trzeci brała udział babcia z dwoma wnukami, którzy zebrali niebagatelną kwotę 3318 zł, a inna rodzina kwestująca drugi raz zebrała do dwóch puszek 5841 zł. Na cmentarzu Rakowickim w czterech puszkach zebrano 13673 zł. Absolutny rekord pobił pan Mieczysław



Czytało, który kwestując od 9 rano do 16 zebrał 4514 zł. Wszyscy kwestowali z wielkim zapałem, pogoda dopisała i zebraliśmy rekordową kwotę 46 250 złotych! Serce się raduje na myśl, ile grobów odzyska dawną świetność i ile ocali się od zapomnienia.

Na koniec duże podziękowania należą się Stanisławowi Czernemu, wiceprezesa wi krakowskiego oddziału TMLiKP-W, który to duże wyzwanie logistycznie i organizacyjnie przygotował i zdalnie lub z bliska monitorował.

Beata Bednarz

O powieści *Nad Zbruczem*

Powieść Wiesława Helaka *Nad Zbruczem* stanowi szczególny wgląd w dramat ojczystych dziejów oraz poważną i poruszającą sumienia literaturę, na której brak nie przestajemy narzekać. Znajduje się w niej wszystko, czego potrzeba książce, żeby mogła żyć dłużej niż jeden sezon. Znajduje się w niej własna prawda, obojętna na kokieterię mód i trendów, przemyślana, wyważona i przeżyta aż do końca. Znajduje się w niej własna interpretacja znaczącego wycinka rzeczywistości zbiorowej. Ponadto utwór ma własny zróżnicowany styl prezentacji, napisany jest językiem artystycznej czystości i uczciwości. Magia słów, a także hipnotyczna i liryczna sugestywność sprawiają, że porusza on w czytelniku najczulsze struny.

Akcja powieści rozgrywa się na wschodnich ziemiach dawnej Polski, u stóp Okopów Świętej Trójcy. W czasach I RP było to miasto położone w województwie podolskim. Siedemnastowieczna, wzniesiona na polecenie króla Jana III Sobieskiego z powodu walk z Turcją, warownia obronna pozostaje w pamięci głównie dzięki rozgłosowi, jaki dał jej Zygmunt Krasiński w *Nie-boskiej komedii*. Krasiński uczynił ten zamek ostatnim bastionem arystokracji. W powieści Wiesława Helaka Okopy stają się ostatnim przyczółkiem ziemiaństwa. Fabuła rozpoczyna się na przełomie XIX i XX stulecia, gdy po długiej nocy rozbiorowej Polacy próbują wskrziesić Rzeczpospolitą, a kończy w momencie wybuchu drugiej wojny światowej. Składające się na fabułę obrazki obyczajowe ukazują schyłek obecności i życia ziemiaństwa polskiego na kresach dawnej Rzeczypospolitej, nad podolskim Zbruczem. W czasie rozbiórów Polski (w 1772 roku) zachodnia część Podola po rzekę Zbrucz została włączona do Austrii.

Głównego bohatera, młodego dziedzica Konstantego, poznajemy w chwili jego powrotu ze szkół w Wiedniu w rodzinne strony, gdzie wszystko wydaje mu się „małe i prowincjonalne – ojciec w wytartym kontuszu, niemodnym już od dziesiątków lat, matka zawsze na czarno, i ta cisza, przeraźliwa cisza, i step”. Jego ojcu car zabrał majątek

za udział w powstaniu. Rodzice Konstantego uprawiają swoisty kult pamiętek przeszłości, na co ich jedyny syn reaguje alergicznie. Nie rozumie ich nieustannie odczuwanej żałoby i sentymentalizmu, skupienia na pracy, tradycji i pamiętaniu o wielkich

momentach dziejowych. Czuje, że się dusi w tej rzeczywistości, niezmiennej od pokoleń, nie rozumie, dlaczego musi „zajmować się pospolitością”, a przecież kiedy wyjeżdżał z Wiednia, pragnął wolności. Rodzice usilnie starają się przekazać Konstantemu spójny ideał życia, a także model miłości i wzór człowieczeństwa zgodny z katolickimi dogmatami, ale młody dziedzic buntuje się wewnętrznie przeciwko temu oraz widniejącej na frontonie pałacu dewizie: „Jam dwór polski, co walczy mężnie i strzeże wierne”. Ukazuje nam autor młodego człowieka tkwiącego w świecie abnegacji, miotającego się, pełnego rozterek i wahań, wracającego w dorosłość z niepokojem, szukającego swej tożsamości. Bohater stopniowo przeżywa misterium przejścia, przeistacza się z pięknoducha i kosmopolity w ojca rodziny, społecznika i Polaka świadomego swoich obowiązków wobec rodu i odradzającej się ojczyzny. To przeobrażenie odbywa się powoli, w sprzęgnięciu z wypracowanymi przez przeszłe pokolenia szlacheckimi rytuałami i wyznawanymi wartościami katolickimi przekazywanymi przez ojca, m.in. poprzez intensywną naukę walki szermierczej i jazdy konnej. Konstancy odrzuca te uświęcone przez przodków obyczaje oraz nie interesuje się drzewem genealogicznym ojca i matki. Wszystkie nazwiska, koligacje i herby mieszają się mu w głowie i jawią jako obce. Ojciec wypomina mu brak szacunku do więzów krwi i własnego życia. Dopiero po latach zrozumie, że wpajane mu przez rodzica umiłowanie rodzinnej ziemi, harmonii, porządku, dyscypliny i piękna jest najcenniejszym skarbem, jaki mógł otrzy-



mać. Uświadomi sobie, że nadrzędne są obowiązki polskie.

Co czeka młodość, której tęsknot nic nie zaspokoi, zakorzenienia na żyznym gruncie nie zapewni, niepokoju nie uśmierzy, poczucia swojskości w ojczyźnie nie da? Na to fundamentalne pytanie powieść Wiesława Helaka udziela wyczerpującej odpowiedzi. Konstanty po długiej szarpaninie i wielu upadkach w końcu odnajduje drogę do samego siebie, zrozumie, że jest „przeznaczony do wierności” – tradycji rodzinnej, Bogu i ojczyźnie. Powieść pozwala nam rozpoznać się w urazach i pustce młodości głównego bohatera, ale i w jej potencjale, który nie wszystek poszedł na marne. Będąc doskonałą książką o poszukiwaniu i próbach zachowania tożsamości, dostarcza zarazem klucza do tajników duchowej biografii pokolenia, które spełniło marzenie poprzednich pięciu generacji i z heroizmem wywalczyło w okopach powołanie na nowo do życia państwa polskiego. Sztafaż historyczny, społeczny i obyczajowy został przez autora wiarygodnie zbudowany. Rekonstruując dramat jednej młodości Wiesław Helak odtwarza – z dużych i małych zdarzeń, z marginalnych na pozór tropów i poszlak – symboliczną genezę Polski nie tylko z końca XIX i początku XX wieku, ale także takiej, jaką dziś mamy: wolnej i niepodległej. Powieść zostaje w pamięci na długo, z wieloma trafnymi w swym wyrazie epizodami i hiperbolicznymi scenami obrazującymi bądź to niesamowity płaszczyznę upojonej samą sobą polskości (w opisie odbywającej się na rzece w każde imieniny matki Konstantego uroczystości *Pro Patria et Fide*), bądź to tragizm wojny, martwe serce rażone zabijaniem, krew wsiąkającą w ziemię bez śladu.

Autor chciał nadać swej powieści charakter moralitetu chrześcijańskiego. Operowanie wskazaniem etyki chrześcijańskiej – z jej podstawowym nakazem miłości Boga i bliźniego – nabiera szczególnej wagi i sprawia, że powieść ma krzepiącą moc. Wiesław Helak stworzył utwór pozwalający wierzyć w prawdę powieści, która może przewartościować i uporządkować nasz moralny świat, rzucić urok na niektóre umysły, wstrząsnąć. Opowiedział przejmującą historię kresową, którą można zaszeregować do literatury małych ojczyzn – jednej z najważniejszych i najcenniejszych tradycji polskiej literatury.

Antoni Wilgusiewicz

Konsulat na sto dwa!

Dla wszystkich, którzy interesują się najnowszymi dziejami Lwowa, a przede wszystkim sprawami Polaków i polskości we Lwowie, książka Agnieszki Sawicz jest nie do przecenienia. Autorka, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, jest Polką ze Lwowa znającą bardzo dobrze problemy, którymi się zajmuje naukowo także z praktycznego punktu widzenia. Czytelniczy Kuriera Galicyjskiego, którego jest jednym z redaktorów, z uwagą czytają jej wnikliwe komentarze polityczne i społeczne dotyczące aktualnych spraw stosunków polsko-ukraińskich, a przede wszystkim sytuacji Polaków we Lwowie i w państwie ukraińskim.

Owocem jej wieloletnich studiów i prac naukowych jest właśnie wydana niedawno książka.

Chociaż tematem pracy Agnieszki Sawicz jest Agencja Konsularna we Lwowie od jej powstania w 1987 roku do przekształcenia w Konsulat Generalny RP w 1993 roku, to podjęte przez autorkę dzieło wychodzi daleko poza ramy samej działalności tego urzędu. Owe sześć lat to bardzo burzliwy okres przemian zarówno w Polsce, jak i w ówczesnym ZSRR, z którego wyłoniło się niepodległe państwo ukraińskie. Samo powstanie agencji, blokowane przez władze radzieckie przez cały okres powojenny, stało się możliwe dzięki owym przemianom, których jednym z następstw było uznanie faktu istnienia na Zachodniej Ukrainie mniejszości polskiej z jej potrzebami kulturalnymi, oświatowymi, religijnymi.

Ów fenomen odrodzenia polskość, wydawałoby się na zawsze wygnanej z tej ziemi przez jałtańskie decyzje, autorka opisuje szeroko korzystając zarówno z dokumentów, jak i wspomnień świadków i uczestników tych tak przecież jeszcze nieodległych w czasie wydarzeń. Szczególną rolę odgrywają tu wspomnienia organizatora i pierwszego kierownika lwowskiej Agencji Konsularnej Włodzimierza Woskowskiego (była tu zatrudniona także jego żona Zofia), a ze strony lwowskich Polaków pierwszego prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej prof. Leszka Mazepy. Baza źródłowa

pracy jest zresztą ogromna; obejmuje ona zarówno akty prawne i archiwalia polskie i ukraińskie, dzieła naukowe, periodyki, jak też bardzo znaczną ilość źródeł internetowych, bez których współczesny historyk nie może się obejść.

Po omówieniu tła historycznego – procesów zachodzących na Ukrainie Zachodniej, czy jak wolą mówić Polacy na dawnych Kresach Południowo-Wschodnich – od schyłku ZSRR do początków kształtowania się państwa ukraińskiego, autorka omawia szczegółowo działalność samej agencji, by przejść do tego, co najbardziej interesuje czytelników nie będących naukowcami: problemów Polaków i polskości na tych ziemiach. Niezwykle ciekawe są działania polskich dyplomatów mające na celu ochronę tak ważnych dla Polaków miejsc pamięci jak Huta Pieniacka, miejsce kaźni profesorów lwowskich, a przede wszystkim zniszczony Cmentarz Orłąt Lwowskich. Należy pamiętać o tym, że był to okres ogromnego ożywienia pamięci o dawnych Kresach w Polsce, wśród kresowian i ich potomków, ale także całego społeczeństwa, w latach PRL niemal całkowicie od tej pamięci odciętego. Polscy dyplomaci musieli w tej sytuacji odpowiedzieć na oczekiwania płynące z kraju, współpracując jednocześnie z miejscowymi Polakami, ale też sowiecką, a potem nową, ukraińską władzą. Symbolem tej współpracy stały się medale Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej przyznane w 1989 roku zarówno pracownikom Energopolu zasłużonym dla renowacji Cmentarza Orłąt, jak też tak wybitnym lwowskim Polakom jak ojciec Władysław Rafał Kiernicki czy Janina Zamojska.

Nowe możliwości działania dla Polaków oznaczały także powstanie różnego rodzaju polskich organizacji. Obok wspomnianego TKPZL były to m.in. Związek Polaków na Ukrainie czy Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie. Stosunki między nimi nie zawsze układały się poprawnie, stąd też przedstawiciele Agencji musieli niejednokrotnie mediować w celu zapewnienia służącej polskim interesom działalności tych organizacji. Wiele uwagi poświęcano szkolnictwu polskiemu, działalności kulturalnej, w której przodował Polski Teatr Ludowy, a także problemom Kościoła Rzymskokatolickiego, którego struktury odrodziły się po sowieckich prześladowaniach. W tej ostatniej dziedzinie

niezwykle ważny był – i jest do dziś – problem odzyskiwania świątyń. Innym kontrolnym – także obecnie – jest problem identyfikacji przez dużą część wiernych wyznania rzymskokatolickiego z polsnością, co nie zawsze jest zgodne z poczynaniami hierarchii i kleru.

Praca Agnieszki Sawicz jest pracą naukową zawierającą całkowicie związany z tym aparat (przypisy, obfita bibliografia, indeksy itp.), ale także ciekawe fotografie, dziś już mające charakter archiwalny. W żadnym jednak wypadku nie powinno to odstraszyć czytelnika niemającego naukowego przygotowania. Język pracy jest przystępny, a poruszane zagadnienia naświetlane w sposób zrozumiały dla przeciętnie przygotowanego czytelnika.

Podstawowym walorem w opinii wszystkich zainteresowanych tematem dawnych Kresów jest ogromne bogactwo faktów i procesów społeczno-politycznych prowadzących do – oczywiście częściowego – odrodzenia polskości na tych terenach, ale także niełatwego układania stosunków z państwem i społecznością ukraińską. Oczekiwać więc należy od autorki kontynuacji jej pracy na dalsze lata – już działania Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, jak też upowszechniania i uprzystępniania wyników jej badań polskiemu społeczeństwu.



Agnieszka Sawicz, *Konsulat bez precedensu. Agencja konsularna we Lwowie wobec problemów mniejszości polskiej*, Poznań 2017

Wspomnienie

o śp. Zdzisławie Stopczyńskiej

Niektórzy jeszcze pamiętają konspiracyjne prawie spotkania kresowian w kapitularnym klasztorze oo. Dominikanów w Krakowie. Organizowała je Nasza Koleżanka Zdzisława Stopczyńska. Zmarła 16 listopada 2018 roku, po długiej i ciężkiej chorobie, w wieku 80 lat.

Dla Dzidki, bo tak nazywali Ją wszyscy znajomi i przyjaciele, nie było rzeczy niemożliwych. Drobną ciałem, lecz wielką duchem i wolianką rozpierała energia. Swą postawą zdawała się mówić: „Co, ja nie dam rady?”. I udawadniała, że podoba – i to z uśmiechem – każdemu wyzwaniu. Czy chodziło o zorganizowanie uroczystej mszy św. w Bazylice Mariackiej, spotkania opłatkowego na ponad sto osób czy o wyprasowanie w ostatniej chwili niewielkim żelazkiem olbrzymiej, ponad 6-metrowej polskiej flagi mającej uświetnić uroczystości w krakowskim „Sokole”.

Była dobrym duchem i siłą napędową środowiska krakowskich lwowiaków. To Ona w 1983 roku organizowała, początkowo potajemnie, u oo. Dominikanów, dzięki gościnności ojca Adama Studzińskiego, spotkania osób związanych ze Lwowem i Kresami. W 1989 roku znalazła się w grupie inicjatywnej, która zdecydowała o powstaniu w Krakowie Towarzystwa Miłośników Lwowa. Wkrótce stało się ono Krakowskim Oddziałem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Dzidka zawsze starannie przygotowywała comiesięczne spotkania u oo. Dominikanów. Częstokroć brały w nich udział osoby świata artystycznego i naukowego związane ze Lwowem i Kresami. Nierzadko spotkania te uświetniały chóry, np. Cecyliański, Organum i Amicus, a także aktorzy, poeci, piosenkarze.

Podziwialiśmy jej talent organizacyjny. To Ona także zainicjowała i organizowała w dniu 22 listopada, w rocznicę szczęśliwego zakończenia walk obronnych o Lwów, coroczne msze św. w Bazylice Mariackiej ku czci Or-

lą Lwowskich. Ile serca dawała, by godnie obchodzić tę rocznicę, ileż pracy kosztowało Dzidkę logistyczne przygotowanie oprawy mszy św., zorganizowanie chóru, solistów, drużyn harcerskich, a wreszcie celebrazów.

Działała także w krakowskim sokolim gnieździe Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół-Macierz Lwów”. Gdy organizowała tam nasze spotkania opłatkowe, mogliśmy być pewni, że z perfekcją zadba o wszystkie szczegóły – poczynając od zaproszenia księdza i załatwienia ogromnej ilości zastawy, a kończąc na doborze papierowych serwetek w barwach Lwowa.

Była bardzo aktywna przy organizowaniu corocznej kwesty w dniu Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny na cmentarzach krakowskich, w szczególności na cmentarzu Rakowickim, na rzecz ratowania cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie.

Rodowita lwowianka. Mieszkała z rodzicami na tyłach katedry ormiańskiej, przy ul. Skarbkowskiej. Zmuszona do opuszczenia swego Lwowa, wyjechała prawdopodobnie w 1944 roku. Drugi dom znalazła w Krakowie. Przyjechała bez ojca; ten bowiem został zamordowany w Katyniu. Po latach Dzidka, wraz z córką Magdaleną, uczestniczyła w organizowaniu – jednej z pierwszych w Polsce – wystawy poświęconej ofiarom Katynia.

Dzidka była prawdziwym dzieckiem Lwowa. Zawsze koleżeńska, pomagała ludziom starszym, schorowanym, a także dzieciom. Każdy wiedział, że może zwrócić się do niej ze swoimi problemami, bo nigdy nikomu nie odmówiła pomocy. Wszystko robiła z uśmiechem, zawsze życzliwa i serdeczna, z typowo lwowskim poczuciem humoru. Swą energią i radością życia mogłaby obdzielić kilka osób młodszych od siebie.

Choć Lwów opuściła za młodu, Jej serce na zawsze pozostało w tym mieście.

Zarząd Główny TMLiKP-W we Wrocławiu uhonorował ją złotą odznaką Zasłużonego Działacza, odznakami jubileuszowymi Towarzystwa. Uhonorowana też została Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Zarząd oraz Koleżanki i Koledzy z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich



I strona okładki:

Uroczystości na Cmentarzu Orłąt we Lwowie z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, 11 listopada 2018 r.

Fot. Anna Gordyjewska



Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – wiceprezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:
53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

JAZŁOWIECKA KOLĘDA	1	Janusz M. Paluch LWOWSKA MEDYCINA	50
Marian Hemar KOLĘDA LWOWSKA	2	Paweł Brzegowy LWOWIANKA W KRAKOWIE	51
Rafał Żebrowski HERBERTOWIE JADĄ DO KRAKOWA	3	Karolina Grodziska TĘSKNOTA ZA BIAŁYM DWORKIEM	52
Ewelina Hrycaj-Małanicz LWOWSKIE TOWARZYSTWO LEKARSKIE	8	Wiersze STANISŁAW MAYKOWSKI	53
Sławomir Gowin MELANCHOLIA I MUZY	20	Anna Woźniakowska MUZYCZNY SPACER PO LWOWIE	55
Proza			
Piotr Tymiński ORLĘTA LWOWSKIE	28	W Krakowie i dalej KLUB „POD GRUSZKĄ”	56
Rozmowa			
Zbigniew Wawaszczak ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. MACIEJEM MATWIJOWEM	33	Anna Gordijewska CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!	59
Stanisław Dziedzic Z KRZEMIEŃCA NA ROŻAŃCOWĄ GÓRĘ	36	Barbara Ołasińska KRAKOWSKA KWESTA...	60
Anna Grychowska HISTORIA PEWNEJ RODZINNEJ KOLEKCJI	42	Książki ♦ czasopisma Beata Bednarz O POWIEŚCI NAD ZBRUCZEM	61
Michał Piekarski HELENA DUNICZ-NIWIŃSKA	46	Antoni Wilgusiewicz KONSULAT NA STO DWA!	62
Adam Macedoński RELIKWIE RODZINNE ARCHEOLOGA	49	WSPOMNIENIE O ZDZISŁAWIE STOPCZYŃSKIEJ	64